

**Liciński Ludwik**

**HALUCYNACJE**

*GOŚĆ — AJRA — Z PONURYCH NOCY — DZIWNE RZECZY —  
ZBRODNIA — TŁO I OBRAZ — DYZIO —  
MOJE OPOWIADANIA — POLICZEK — NA CMENTARZU — PO  
ŚMIERCI — SZCZURY — MAŁY EPILOG*

Sen o bajce

Bajka

Pamiętasz? Była dziewczynka małeńka... Poszepty wiosny spływały  
po jej  
ramionach, jak włosy precudne, a złote włosy biegły za poszeptami  
wiosny, jak  
fale, i nie roztrącały się wzajem, lecz łączyły niby w złotopienny  
potok...  
Księżyc patrzył cicho i niesłuchanie smutno. A dziecko patrzyło  
ciągle w ten  
smutny niesłuchanie księżyc, i wydało mu się, że życie jest zimne, jak  
mgła i,  
jak macocha niedobre. Wyziębi, wystudzi, a ludziom kwiatów  
potrzeba i słońca. I  
mała dziewczynka marzyła, że kędyś dla ludzi rosą kwiaty  
o twarzach anielic, czasem płomienne czerwienią oburzeń, jak pożary,  
a czasem  
białe i ciche, jak myśl o najbielszym kochaniu, a czasem tylko  
półsennej myśli  
widzialne, jak pocałunek pieśni. Marzyła moce i zjawy precudne,  
marzyła  
rzeczywistości, z potężnej myśli poczęte, marzyła śliczne, pełne czaru.  
Marzyła  
duszę bratnią, która ją słyszy, tylko przyjść jeszcze nie może, sadami  
rozkwitłych czereśni zejdzie, marzyła duszę bratnią.  
I nocy onej, gdy księżyc tak cicho gadał i smutno, szedł przez świat  
młodzieniec. Myślał o ludziach złych

i szkodliwych, jak ukąszenie skorpjona. O marnych, lichych i podstępnych myślał ludziach, co się czołgają po ziemi, jak żmije; o ołtarzach z drewna, na których rozparli się handlarze dusz. Myślał, i gniew w nim kipiał. Nagle spojrział w smutny niesłuchanie księżyc i uczył, jak cichnie w nim dusza. Marzył teraz kwiaty o twarzach anielic; marzył moce i zjawy przecudne; marzył duszę siostrzaną, która go słyszy, tylko przyjsć jeszcze nie może, marzył duszę siostrzaną. Od tej chwili wiele czasu minęło. Dziewczynka stała się kobietą, młodzieniec wyrósł na mężczyznę. I spotkali się... Księżyc był cichy i niesłuchanie smutny, jak wtedy, a oni przez ten księżyc cichy i niesłuchanie smutny spojrzeli na siebie, i nagle oczy rozwarły im się szeroko. W tej chwili przypomnieli sobie inny księżyc, cichy i niesłuchanie smutny, jakby przed tysiącem lat, jakby wczoraj dopiero, i poznali coś, czego dotąd nie widzieli, i wszystko, o czym białe noce marzyli. To był sen może, ale sny długo żyją czasami...

Halucynacje

GOŚĆ.

Była to jedna z tych twarzy potwornych, które, cmentarnym majakom podobne, zawisają nad oczami przerażeniem, jak upiory grozy. Nie pamiętam ani koloru

oczu, ani kształtów nosa, była to bowiem dziwna twarz bez rysunku,  
jak bywa  
czasem we wspomnieniu zdrada kochanki. Wyraz jeno pozostanie w  
duszy, choć  
rysunek się zatrze i zblaknie...  
Gość mój wszedł gwałtownie i niespodziewanie, jak wchodzi do  
pokoju artysty  
widmo głodu. Król jednak raczej, niż rzezimieszek, szatan prędzej, niż  
filister,  
wisielec — niż żebrak — gość mój wszedł pełen godności, poważny,  
majestatyczny.  
Nie przedstawiał się, choć był mi nieznamy; nie witał się, choć  
wchodził... po  
co? obaj czuliśmy, że tak właśnie powinno być, nie inaczej... Mój  
gość... ja...  
są chwile, kiedy się takie rzeczy rozumie...  
Z obojętnej, pergaminowej twarzy padł na mnie przelotny uśmiech  
współczucia  
nawpół pogardliwego, nawpół wyzywającego.  
Usiadł przy mnie... Patrzył, ale już nie we mnie — nie wiem: jakby w  
ziemię,  
jakby w długie kościste palce, które przesuwał po czole, po twarzy, a  
później  
odrywał je niby, odsuwał od siebie, jakby sam chciał

się zahypnotyzować, jakby chciał je wydłużyć, wyciągnąć... może  
odmierzał własną  
duszę. Długie ciężkie milczenie stało między nami, jak burza gradowa  
stoi między  
niebem a ziemią. Czułem, że w życiu moim coś się przełamie i  
pęknie.  
Wstręt i obawa, nienawiść i niepewność, pchały mnie do mego gościa,  
ostrzyły  
moją ciekawość.  
Cała moja wola leżała pod stopami przybysza, jak dziecię u nóg  
piastunki.

— Więc niech się już dzieje — myślałem.  
— Dramat piszesz? — spytał lodowym głosem.  
— Tak — odparłem — dramat piszę.  
— Z życia?  
— Z życia.  
— I długoś dmuchał w serca ludzkie? I umiałeś brać ich pod żeberka tak, wiesz?  
mądrze?... sprytnie?... żeby to wyśpiewało wszystko... co? hę?... tam...  
z  
samego dna?  
— Zdaje mi się, że studjowałem nietylko rozumem.  
— Wiem... wiem... lałeś w to błotko, w te śmietniki... przykładając łapy do tych pudlich serc.  
— Nie! tylko płakałem tam, gdzie inni się śmiali, oddawałem hołdy tam, gdzie inni gardzili, kochałem, tuliłem...  
— Kochałem, tuliłem... wiem, wiem... Otóż to zasada... ukochać... I naraz z takiego śmietnika bryźnie ludzka łza... prawda? jak djamenty... Dużoś ich zbierał?..  
— Więcej niż starczy życia na odlewanie ich w formy sztuki...  
— Jak, jak powiedziałeś? w formy sztuki? A więc dla sztuki?... co?..  
  
— Nie, nie dla sztuki... Oddam je sztuce, ale zbierałem nie dla sztuki...  
— To na jedno wychodzi... A zresztą — frazesy... Dumny jestem, że znalazłem artystę, który zajrzał aż tam, w samo podziemie mętu. I nie poparzyłeś sobie estetyki?  
— Owszem, poparzyłem serce, że dziś chodzę obolały, jak łza...  
— Wiem... wiem... Śledziłem twoje kroki od pierwszego świadomego wyjścia z domu.

Widziałem, jak dusza twa padała i podnosiła się, płakała i śmiała się,  
gardziła  
i miłowała.

— Tak, aż ukochała bez ograniczeń.

— Widziałem, jak stanąłeś nad ludzkim mrowiskiem, jak zajrzałeś  
twarzą w twarz

obłudzie i podłości, brzydocie i hańbie, aby ukazać pod niemi niebo  
drzemiących

pragnień i czystość lilji białych. Pamiętasz tego rzezimieszka, co nie  
zdążył

jeszcze krwi ze sztyletu otrzeć, a już z cynicznym uśmiechem szedł w  
objęcia

czternastolatek... I pamiętasz jego rozmowę ostatnią?...

— Pamiętam... Jaka to bogata natura... Jakim on czasem umiał być  
dzieckiem...

Jak dobrym, jak zadziwiająco dobrym!

— Widzisz... więc nie był złym?

— Złym? czyż może być człowiek złym? Biednym raczej,  
zbrukanym, niezaradnym, ale  
złym? nigdy!...

— I takimi będą ludzie w twoim dramacie?

— Tak, takimi będą, jakimi są... Niech im pęka serce, niech nad  
głowami warczą

im pioruny, niech los ich spycha na bezdroża nędzy i występku, a oni,  
jak

anieli, niech powstają do promiennych snów.

— A pamiętasz tego anioła powiewnego, co ci wywichnął skrzydła i  
odciski na

duszy wydeptał?

— O nie wspominaj!... przeszło, przeboleło... Może i tam drzemały  
wieszczce

struny... Nie poruszyłem, nie umiałem zbudzić.

— A pamiętasz szczekającą tłuszcę tych tam półbogów, co się  
twojemi sędziami

mienili? He? he? co? Pamiętasz? Pamiętasz, jak swojemi lilipuciami stopami

dreptali koło twojego kościoła i szydzili? Co? tylko wieży dosięgnąć nie mogli —

drabinki zabrakło. Prawda? A wiesz, gdzie cię zepchnąć chcieli? Czy nieświadomość tylko niemi kierowała? Nie zawiść, nie podłość wrodzona? Nie

zapomniałeś tych kapłanów — rzezimieszków cnót narodowych?

— I to już przeszło... Pogardę im rzuciłem i przeszedłem mimo.

Nizcy, marni...

— Aha, widzisz... nizcy, marni... Po milion kroć nizcy i marni. A ty ich chcesz

na pjeostał? Toż wyborowisi z ludzi, a gdzież podziejesz jeszcze marniejszych?

Co? Tych naprzykład pocziwców o duszy dorobkiewiczów, co pluli w twoje słońce,

bo się mienili krewnemi twego ciała. Czemuś pokazywał im

człowieka? Czemuś nie

był cnotliwym hultajem?

— Zasłoń przede mną to wspomnienie, bo dotąd czuję rumieniec policzków na

twarży. Kiedym ich wzgardą pożegnał, zaprzysięgłem nie myśleć o nich.

— Czemu dygocesz, jak pojmane ptaszę? Wszak serce ci nie pękło wtedy? I pomyśl

zresztą, cześć i miłość ich otacza... Tyż jeden kłąc ich będziesz?

— O! niech przekłętą będzie ta trująca cnota pocziwców.

— O tak... niech będzie przekłętą... Żli i marni, głupi i bezwstydni, słabi i

bezczelni, świecące łachmany własnych podłości, to są ludzie. Zbyt słabi, by iść

samopas, tłumami prą naprzód i wyją, przeklinają, zębami i obuchami miażdżą

wszystko, co nie z nich wylęgle.

— Boże! Boże! Ile milionów wieków się przetoczy, zanim to wszystko się odrodzi.  
— Odrodzi? Ty wierzysz w odrodzenie? Przyjrzej się temu ludzkiemu szczenięciu,  
jak wzrastało, jak pełzało na czworakach zabobonne, złe, głupie, aby  
coraz  
bałamutniejszym zabobonem obalić stary, prostszy. Jak ma się  
odrodzić to  
rozbójników plemię?  
— Czemu rozdmuchujesz we mnie nienawiść, która już kochać  
umiała?  
— Kochać? ty? Pomyśl! ten kretynizm? Tę brzydotę, która ci napluje  
w każdą  
tęczę? Ty ich ukochasz? ty? artysta? Nie potrafisz się wznieść  
wyżej nad te  
barłogi? Nie położysz swojej myśli na krawędzi tego, skąd się  
zaczyna  
Nieskończoność? Gardź nimi, depc, pomiataj!  
— Rozbiłeś myśl moją na kawałki, jak szklane naczynie. Druzgi się  
rozsypały, a  
ja...  
— A ty?... co? mów!...  
— Nie wiem... daj mi myśli skupić.  
— Czekaj... Ja ci odkryję prawdę. Znasz ją, lecz boisz się przyznać do  
niej.  
Nateż dobrze uwagę... Skupić się staraj...

— Mów... wiesz, że zagrasz na mnie, jak zechcesz. Więc graj.  
— Nie potrzebuję grać... Ty jesteś muzykiem.  
— A ktoś ty?  
— Ja?... czekaj! nie dokończyłem. Odkryję ci prawdę. Czyś nigdy nie  
czuł, że  
jesteś bogiem? Milczysz?  
— Jak to rozumiesz?  
— Mocno, mocno myśl nateż...  
— Po coś ty przyszedł do mnie?

— Czemu pytanie to nie stało wcześniej między nami?  
— Bo... było niepotrzebne.  
— A teraz?  
— Teraz? Wygrałeś gościu! Także niepotrzebne.  
— A reszta?  
— Co chcesz przez to powiedzieć?  
— Mówię o twoim pochodzeniu.  
— I to wygrałeś, gościu.  
— A dramat napiszesz?  
— Napiszę...  
— Jacyż ludzie w nim będą?  
— Mali i brutalni, przebiegli i złośliwi, słabi i bezczelni, przewrotni i rozuzdani. Takiemi ich stworzę, jacy są... Niech pełzają, niech przerażają,  
niech budzą wstręt i odrazę. Niech szczekają i wyją, niech prą się jedni na drugich, jak szakale, i niech świecą w sztucznych światłach, jak upiory.  
— Takżeś ich znienawidził?  
— Całą pogardą szyderstwa, całą potęgą mego twórczego "ja".

— I jesteś pewny, że oni trzymają miarę twej pogardy. A jeśliś nie wysłuchał  
wszystkicli tych dźwięków co się szamocą o ściany serc, jak niejedna boska nuta,  
co w tobie gra?  
— Co?... oni?... te, te błotne żmije?... te niegasnące klątwy?... ha...  
ha...  
śmiej się gościu... ha... ha...  
— I ty dramat piszesz? ty?  
Gość spojrział na mnie okiem zimnego szyderstwa i powtórzył raz jeszcze:  
— I ty dramat chcesz pisać?  
Porwałem na stole stojący lichtarz i cisnąłem go w łeb gościowi... W sam łeb!



Rozwalić mózgownicę, w której te zimne oczy mieszkają. Lecz  
lichtarz upadł z  
hałasem na ziemię, a gość mój wpatrywał się we mnie zimnym,  
stalowym  
spojrzeniem, od którego ziębnie myśl.  
W oczach jego wygasły już resztki ironji i pozostał tylko niemy  
spokój, co duszę  
obraca naokoło.  
Nie wiedziałem i dotąd nie wiem, kim on był, ale czułem, że muszę go  
zamordować,  
bo w przeciwnym razie on zamorduje mi duszę. Myśl ta utkwiała we  
mnie jak kula,  
postanowienie wołało czynu.  
Naraz spostrzegłem na stole długi wązki nóż. Ścisnąłem ręką stalowe  
narzędzie i  
zamierzyłem się na gościa.  
Lecz on powstał wtedy wolno i powoli, powoli, nie usiłując się bronić,  
ale jakby  
nie czując niebezpieczeństwa, zmierzał ku drzwiom.  
Przy drzwiach przystanął jeszcze na chwilę i, nie oglądając się  
zupełnie na  
mnie, strzepnął palcem pyłek z kapelusza i wyszedł.

AJRA.

Gruźlica szybkimi krokami parła naprzód. Z dnia na dzień zabierała  
mi resztki  
sił i przytomności. Nocami upały gorączki odpędzały sen i  
nawoływały ciężkie  
męczące majaki. Byłem sam — jeden jedyny na całym świecie, bez  
odrobiny  
przyjaciela, lub krewniaka.  
Wszystkie stosunki z ludźmi pozrywałem jeszcze w z początku choroby,  
resztki

węzłów rwały się same przez się, z prawa choroby, ludzkiej  
wrażliwości i t. d.  
Usługująca mi stróżka, nie mogąc w niczym zadowolnić moich  
kaprysów, najpierw  
się niecierpliwiła i mamrotała półgłosem, później sarkała i zrzędziła, a  
wkońcu  
obsypywała mnie gradem brutalnej niechęci.  
— Pan to ni Bogu, ni ludziom — mówiła. — Przyniosę co...  
niedobre... Mleko — za  
kwaśne, chleb za suchy. Przecie kupuję tam, gdzie wszyscy. Łóżko  
prześciele —  
źle. Lekarstwo podam — źle. Sam anioł by nie wytrzymał. A o  
spowiedzi ani dudu.  
Zara by się polepszyło. O Jezu Marjo! jak to insze ludzie nad grobem  
stoją, a  
nie chcą przyjąć, co im Pan Bóg ochwiaruje.  
Byłem sam — jeden jedyny na całym świecie, bez odrobiny  
przyjaciela, lub  
krewniaka. Postanowiłem się przenieść do szpitala.

Słoneczną szpitalną celkę powitałem z uczuciem rozkoszy i ulgi.  
Niedaleko za  
oknem chwiały się i szeleściły liśćmi kasztany. Ta zieleń, której od  
tak dawna  
nie widziałem, dziwnie łączyła mnie z życiem. Czułem się zdrowszy,  
silniejszy.  
Całymi godzinami wpatrywałem się w liście i spokojniej zasypiałem.  
Atoli szczęście moje chwilowe niedługo trwało.  
Już czwartego dnia do celki mej zapukała stróżka.  
Przyniosła mi jakąś pozostawioną w mieszkaniu drobnostkę, sprzączek  
nic nie  
znaczący.  
Przyjście jej niemile mnie dotknęło.  
Z przebiegle namaszczonej twarzy wyczytałem jakiś szatański  
podstęp. Miała

przytym w oczach suchy cynizm bogobożności, który mnie zawsze przerażał. Był to wzrok oprawcy, który z litanją na ustach obdziera skórę. Wiedziałem, pewny niemal byłem, że ten puszczyk-stróżka przynosi mi wróżbę nieszczęścia. Jakoż nie omyliłem się. Po wyjściu jej usłyszałem cichą rozmowę na korytarzu. To ona rozmawiała z siostrą miłosierdzia. Mówiły o mojej zatraconej duszy, której trzeba było co rychlej spowiedzi. — Jakto? więc nieprawda, moja kobieto? A mówi mi, że się spowiadał tydzień temu. — O nieprawda, dobrodziejko! nieprawda!... Odtąd zaczęły się inkwizytorskie wizyty siostry miłosierdzia. Tłumaczyła mi, że nie mogę przecie zdechnąć jak bydlę, że mam rozum i duszę; że jestem bądź co bądź człowiekiem, za którego Syn Boży cierpiał na krzyżu;

tłumaczyła mi zresztą bardzo mądrze i rozumnie według tej dziecinnej logiki, co to boi się "pieruna", że ona czuje się uprawnioną do pojednania mnie z Bogiem i t. d. Z początku odpowiadałem, później mrużyłem oczy i udawałem śpiącego, ale siostra miłosierdzia wynalazła zemstę, bo gdym dzwonił, potrzebując czegoś, udawała, że nie słyszy. W ten sposób wszystkie prawie moje potrzeby zależne od siostry miłosierdzia były niezaspokojone. Zaciałem się — postanowiłem nie żądać nic. Spragniony wody do picia, lub kawałka cukru, który lubiłem zwilżać w mleku i

ssać — oblizywałem zeschniętym językiem zeschnięte wargi, złorzeczyłem  
św. inkwizycji,  
ale nie dzwoniłem, nie żądałem niczego.  
Zakonnica zmieniła taktykę — stawała się słodką i uprzedzającą moje  
chęci,  
przepraszała za niezależne od niej zwłoki, lub niewygody, co rusz to  
do mnie  
zaglądała, na jedną chwilę — ot czy nie potrzeba czego ?  
A po tych wszystkich słodyczach tym silniejsze żądanie wypełnienia  
obowiązków  
chrześcijańskich, tym kategoryczniejsza odmowa i tym ostrzejsza  
uraza.  
Byłem sam — jeden jedyny na całym świecie, bez odrobiny  
przyjaciela, lub  
krewniaka. Gruźlica szybkimi krokami parła naprzód. Z dnia na  
dzień zabierała  
mi resztki sił i przytomności.  
Tak wlekły mi się długie, długie godziny szpitalne, przesuwał przed  
oczyma  
straszne, przerażające halucynacje.

Wtym razie pewnego, najnieoczekiwanej dla mnie, w celce mojej  
zjawiała się  
najprzepyszniejsza kobieta, jaką znałem w życiu, aktorka mojej  
kilkoletniej  
miłości, szalu, klątw, pragnień.  
Kochałem ją i ona wyznawała mi niejednokrotnie swoją miłość, lecz  
nie wierzyłem  
jej, byłem zazdrosny, chciałem niepodzielności. W ten sposób nie  
posiadałem jej  
nigdy.  
Dawniej, dawniej kiedyś, w początku naszej znajomości, objąłem  
namiętnie jej  
ramiona i przyciskałem... Ona niby się broniła i, przechylając  
cudownie główkę,  
szepnęła "aj... ra... ". Później się dowiedziałem, że miała powiedzieć:

"ratujcie"! Nie zdążyła; ustami wpilem się w jej usta — reszta sylab zamarła...

Duży czarny gołąb załopotał w okno, odskoczyliśmy od siebie wylekli... I tak nie

posiadłem jej... Odtąd nazywałem ją zawsze "Ajra".

W chorobie zapomina się o wielu rzeczach i osobach. Zapomniałem o Ajrze.

— Ajra! Ajra! — szeptałem teraz w radosnym zdziwieniu, skąd się tu wzięłaś?

— Skąd? czyż to dziwne? Czemu nie zawiadomiłeś, żeś chory?

— Daruj — odparłem ironicznie — ale nawet o mym pogrzebie nie będę nikogo zawiadamiał.

Ciepłą wonną dłonią zamknęła mi usta.

— Ja chcę, żebyś żył — szepnęła.

— Bo widzisz, mnie ogromnie źle... nikogo... — poskarżyłem się.

— Wiem... wiem...

I temi kolorowemi ustami przywarła do mego czoła.

— Więc kocha! — myślałem... — Przychodzi do takiego zdechlaka, do tego

wszystkiego, co tak wstrętne, nieestetyczne. I całuje!... Jakże musi być silnym

uczucie takiej kobiety... I naraz litość mnie wzięła nad samym sobą, żem tak

niebacznie wyzbył się mego szczęścia... czyniłem sobie wyrzuty, że byłem

niesprawiedliwy dla niej. Klękałem w myśli przed nią i błagałem ją o przebaczenie. — O boska! święta Ajro! — wołałem... i korzyłem się... błogosławiłem jej przyjście.

A ona odtąd codziennie już przychodziła.

Lekkiemi motylemi krokami wpływała jak srebrny sen, cicho zbliżała się na

paluszkach, bacząc, aby mnie nie rozbudzić, na wypadek, gdybym spał. Nie mogłem

nigdy widzieć jej przyjścia, bo leżałem zwrócony głową do okna, lecz poznawałem

ją po szeleście sukni i zapachu fijołków.

— Ajra! — szeptałem — ty?

— Ja — odpowiadała i owiewając mnie zapachem fijołków i tym rozkosznym ciepłem

włosów, właściwym tylko brunetkom, całowała w czoło...

A później kładła dłonie na mojej wychudzonej twarzy i, mimowolnie zniżając głos

do mego suchotniczego szeptu, opowiadała dziwne, przedziwne powieści...

Opowiadała, jak łabędź pływający po jeziorze, zakochał się w wiejskiej

dziewczynie i został później zabity przez inne łabędzie... Mówiła, jak raz za

jej dzieciństwa przyszła stara cyganka i z ręki jej wróżyła i rozplakała się i

nic powiedzieć nie chciała, tylko ją

Ajra nazwała... Więc kiedy ja ją po raz pierwszy Ajrą nazwałem, wylękała się tego

imienia, bo zdało się jej, że czego cyganka odwagi dopowiedzieć nie miała, to ja

jej teraz odkryję... Opowiadała, jak raz dziecieniem w wigilję św.

Jana, przez

całą noc stała i rączki wyciągała, bo niania ją zapewniła, że gwiazdki do dzieci

dobrych wtedy przychodzą... I wiele, wiele innych rzeczy opowiadała...

— Ajra! kto ciebie tak pięknie mówić nauczył? — pytałem.

Ona robiła wtedy ślicznego, rozkapryszonego aniołka i głosem dziecka szeptała:

— Ajra siama naucila... tu... tu... z główki...

I w sercu suchotnika grały te cudne powieści coraz rzewniej, wstawały jak piękne

wizje, które przysłyły ostatnie moje chwile melodja napelnić i słońcem je owiać.

Ajra, bosko-piękna Ajra, o przepysznych ramionach, zatracala dla mnie coraz

bardziej pierwiastek materjalny, przestawalem ja pojmovac zmyslami, nie moglem

sobie dokladnie zdać sprawy, kto ona jest wlasciwie? kochanka? siostra?

matka?... córka moze? Stawala sie dla mnie raczej czymś abstrakcyjnym, jakby

widomym symbolem czegoś, co nie urodzilo sie jeszcze we mnie, ale bylo juz poza

mna; czymś, co trwało juz przed ziemi narodziem i przetrwa jej śmierć, ale we

mnie ma nastapic dopiero... kiedyś, kiedyś... moze juz wkrótce.

Czułem sie

szczęśliwym bez miary smutnym, skupionym szczęściem uśmiechniętej rezygnacji.

Jedna tylko jeszcze fatalna trwoga przychodzila do

mnie i, gdy Ajry nie bylo przy mnie, kladla sie u mego wezglowia jak potwór.

Był to szalony, dziki niemal strach przed św. inkwizycją. A nuż zakonnica

znajdzie droge do Ajry i nauczy ja przeciw mnie spiskowac.

— Dołamią, dołamią do reszty — myslalem. Przeczucie moje mialo sie wkrótce

ureczywistnic.

Na korytarzu uslyszalem cichą rozmowe zakonniczy z Ajra... Zupełnie tak jak

wtedy... takie same szepty, które umierajacy tylko doslyszy...

— Na miłość Boską! niechże pani wpłynie... przecie to tydzień, dwa najwyzej.

— Wszystkimi silami, siostro!...

Zatkałem sobie uszy palcami, bo nie chcialem sluchac dalej tej potwornej

rozmowy.

Tak mnie zastała Ajra... Nie słyszałem nawet jej wejścia...

— Spisek uknuty? — przesyczałem na przywitanie. Przybladła... oniemiała...

— No ten... z zakonnica — szeptałem — będziecie mnie obie męczyły?

Ajra uśmiechnęła się naraz i mówiła!

— Cóż to mi szkodziło przyrzec rozfanatyzowanej dewotce? Będąc pewną, że ja za

nią spełnię tę misję, przestanie cię sama męczyć... Czy źle zrobiłam? I przymilając się, powtarzała z uśmiechem:

— Cóż źle?... źle?

— A ty naprawdę nie myślisz o tym? — wyszeptałem z lękiem... Nigdy... ani jednym słowem...

Uspokoilem się do reszty.

— O jakaś ty dobra — rechotałem resztkami urywanego szeptu, który coraz trudniej odrywałem od gardła.

— Dobra? naprawdę dobra? — pytała. — A tybyś był również dobry?

— Ja?!... pytasz?...

Naraz Ajra ogarnęła mnie zimnym, kupieckim spojrzeniem rzeźnika.

Zdało mi się,

że w mózgu jej ważyła się w tej chwili jakaś zbrodnia. Ot, jakby mnie za gardło

porwać miała i udusić... Czuję niemal, jak łeb mi się trzęsie i język na brodę

wyskoczył... Cofnąłem mimowoli oczy od niej i przykryłem je rzesami. Trwało to

jednak tylko chwilę. Twarz Ajry łagodniała i piękniała, w oczach zagrała cicha,

głęboka zaduma.

— Co ci jest Ajro? — pytałem.

— Jestem dziś inną, niż zawsze?

— Wydajesz mi się nieczytelną... Nosisz myśl jakąś, której odkryć się boisz.



— A jeżeli ją odkryję?... — rzekła powoli.  
I zaraz oczy rękami zasłoniła, jakby bojąc się, że sam wyszarpię z niej to, co z takim wysiłkiem woli powiedzieć miała.  
— Ajro! Ajro! Patrz... oto i ja zasłaniam oczy, abyśmy naszych myśli widzieć nie mogli,.. Mów, co masz powiedzieć.  
— Dobrze... powiem. Ale daj mi słowo, że spełnisz to, o co poproszę.  
— Moja najśłodsza! Czyż ja mam jeszcze tyle mocy, aby cokolwiek na ziemi spełnić... Patrz! trup

z odrobiną życia... Zero... Kawalek zepsutego ciała... Ja mam co spełniać?...

Ajro! szalona jesteś...

— A jednak gdybyś mógł... Czyż wahałbyś się dla twojej Ajry?...

— Gdybym mógł... Droga! ty sama wiesz, czyni jesteś dla mnie. Wynajdź rzecz w granicach mojej możliwości, a spełnię ją dla ciebie, by umrzeć spokojniej.

— Więc spełnisz? Przysięgnij, że spełnisz...

— Dobrze, Ajro! Przysięgam... wszystko uczynię, czego zażadasz odemnie, a uczynić będę w możliwości... Przysięgam, że spełnię przed śmiercią wszystko, wszystko, — bez ograniczeń — co mi podyktujesz, prócz tego, co żądała ode mnie zakonnica.

— Bo... bo... widzisz — mówiła z uśmiechem — ja przecie wszystko dla ciebie uczyniłabym.

— Wiem... Ty jedna taka... Ale mów już... — nalegałem.

— Dobrze! zaraz... — mówiła z pewnym drżeniem w głosie — ale zakryj oczy, tak jak dotąd.

Przymknąłem oczy i osłoniłem je dłonią. Ona mówiła cicho i trwożnie, ale szeptem zbyt wyraźnym, abym mógł uronić choć jedno słówko.  
— Ja wiem... Powiesz, żeś potwór... Jednak kocham cię jak nikt... Pamiętaj, żeś przysiągł... Będę się modliła za ciebie całe życie... Wymagam od ciebie rzeczy właściwie niewielkiej... Dla mnie prawdziwe zbawienie... Zrozumiesz to sam... Jestem w strasznym położeniu... Wiem zresztą, że mnie kochasz... Do nikogo w całym świecie nie zwróciłabym się... Zresztą przy-

siągnęłam... Zapiszesz się do Kasy pogrzebowej... Nic więcej... Wszystkie koszty ja opłacę... Odbiór pieniędzy przekażesz na moje nazwisko... Właściwie ludzie umie... to jest bardzo chorych nie przyjmują do kasy, ale to da się zrobić... Mam znajomego w zarządzie... Rozmawiałam... Przyrzekł mi... Przecie to nie sprawi ci żadnego kłopotu... Ja wiem, że ty mnie jeden kochasz... Zresztą choć przysiągnęłam, mogę cię zwolnić, jeżeli ci to sprawia przykrość... Słowa jej wbijały się we mnie jak ciężkie topory. Rękę trzymałem ciągle na oczach... Czuję się za słaby aby spojrzeć na nią... Myśli, jak błyskawice, migotały mi pod głową. Setki pomysłów zemsty krzyżowały się i dobijały wzajem. Czuję, że mi potrzeba gromów i wulkanów, nawałnic i burzy, a ja mam w rozporządzeniu tylko cherlactwo i gorączkę, bezsilność i słabość. Ciężka potworna zmora położyła się na mózgu i wyła, kąsała, że drapać pazurami duszę

własną pragnąłem.

Zdusić, zgnieść jednak w sobie pragnąłem to piekło rozpacz, —  
szarpnąłem się i  
zgmiotłem... i zdusiłem...

Poczułem w sobie tego szatana nienawistnej chłodnej ironji, co  
strojnym życia

smakoszom mięso kawałami z serc wyłapywała, by im pokazać, że to  
tylko mięso

bydlęce. Budziło się we mnie wszystko złe — a potężne, silne — a  
potworne. He —

he — he! jak ja się śmiać umiem przed śmiercią... Truchlejcie, kanalje  
bezwstydu! mistrz śmiechu się zbudził, aby ostatnim śmiechem  
szczekanie wasze

zagłuszyć...

Leżałem ciągle z ręką na oczach.

Ajra, boska, kochana Ajra, najprzecudniejsze w świecie ścierwo, Ajra,  
bydlę o

przepysznych ramionach — siedziała milcząca, nieruchoma.

I naraz wydała mi się cała sytuacja śmieszna, operetkowo-ogródkowa,  
dziennikarsko-humorystyczną...

Rozkoszny zjadliwy śmiech rozlewał mi się po duszy, drżał, dzwonił  
we mnie

szczęściem upojenia...

— Wahasz się? przykróść ci sprawiłam? — rzekła Ajra.

Spojrzałem na nią rozbawionym okiem... Widziałem w tym  
wszystkim tyle komizmu,

aż serce mi puchło ze śmiechu.

— Przykróść? Ajro! Ktoż widział? Taka błahostka. No! kasa  
pogrzebowa... wielkie

historje?!... Śliczny pomysł...

— Więc naprawdę nie zrobiłam ci przykróści?

— Bo przecie to nic nie znaczy... I żyć jeszcze możesz...

— Ależ słusznie.

— O jakiś ty dobry.

Tu nastąpiło kilka pocałunków i wiele, wiele komizmu.

— Niema o czym mówić — rzekłem — załatw wszystko... Zapiszę się do tej tam pogrzebowej kasy... Wszak to dla ciebie. Lecz słuchaj! Żądam nagrody. Nie ciężkiej — o nie! Drobnostka za drobnostkę... Ty po mej śmierci odbierzesz trochę grosza, ja przed śmiercią chcę widzieć twoje ciało... Nie posiąść — nie!... widzisz sama nie mogę... Ale zobaczyć... Raz jeden... Niech cię widzę przed śmiercią... Niech się upoję widokiem twych kształtów...

Wyciągnąłem chudą bladą rękę do jej piersi i próbowałem rozpiąć suknię.

Ona zapłonila się jak dziewica i trwożnym głosem wyszeptała:

— Koniecznie?!

— Koniecznie! bezwarunkowo! Żądam tego kategorycznie.

— Dobrze... dla ciebie wszystko... Ale pozwól: jutro, nie dzisiaj...

— Nie! nie! dzisiaj! tylko dzisiaj...

Usta błagalnie ułożyła w trąbkę i prosiła:

— No jutro, jutro... Ajra prosi... Zgódź się... Ajra dziś nie może...

A mnie to wypraszenie się jej wydało się tak bezgranicznie zabawne, że tym

uporczywiej nastawałem na nią, aby dopełniła warunków zaraz, niezwłocznie.

Nabrałem przekonania, że w tym opieraniu się niewieścim, oblanym dziewiczego

wstydu rumieńcem, kryje się jakaś potężna śmieszność z dramatem niemal

granicząca. Więc postawić tę parodję pod pręgierz mojego wzroku.

Niech się

wywstydzi, wypłoni na całe życie.

— Ajra! ja dziś żądam — szeptałem.

Oczy jej wylekłe, przerażone niemal przystygły do mojej twarzy.

Porwała moją

chudą wstrętną rękę, złożyła na niej pocałunek i, klękając przed  
łóżkiem,  
błagała:  
— Zlituj się nademną... Jutro... Jutro... Dziś nie... O zgódź się...  
Kochany,  
najlepszy! Jutro...

Dobrze — szepnąłem — jutro. O jakiś ty dobry...

\* \* \*

Całą noc majaczyłem nieprzytomnie, Straszniemi widzeniami trapiiony.  
Zdało mi się, że duży płowy lew położył się u mych nóg, i... jedno  
poruszenie  
moje, jedno drgnienie, a porwie mnie i zmiażdży...  
Wtym weszła Ajra i śmiała się, śmiała, śmiała, jak tylko głupi sędzia  
może się  
śmiać ze złoczyńcy...  
— Ajro, Ajro! ocal! — krzyknąłem.  
Ona podeszła do lwa i odpędziła go... A później siadła na oknie,  
zasłaniając  
widok kasztanów i znowu się śmiała, aż w całym pokoju huczało.  
Bezsilność i nieruchomość mnie ogarnęła, jakby mi kto wszystkie  
członki  
pokrępował, tak, iż powiekami nawet mrugnąć nie mogłem.  
A Ajra, straszna, potworna Ajra siedziała na oknie i, długą słomkę w  
ręku  
trzymając, łechtala mnie nią w ucho... Potym rzuciła na ziemię słomkę  
i  
roztworzyła okno.  
Liście kasztanowe pchały się do celki, wyrastając w potworne  
zwierzęta.  
Napęłniły celkę jakimś dziwnym mlaskaniem i ćpaniem, sykaniem i  
rżeniem.  
Chciałem przymrużyć oczy, aby nie patrzeć na nie, ale Ajra trzymała  
mi powieki w

dłoniach, ukazując, jak potwory pełzają po moim ciele.  
Gdy wszystko pierzchło i umilkło, Ajra, trzymając mnie za rękę,  
prowadziła po  
jakichś ciemnych, dłu-

gich kurytarzach. Krucyfiksy obalone i trupie czaszki leżały na ziemi,  
tak, iż  
co chwila zmuszeni byliśmy odrzucać je nogami na bok.

— Chcesz, zatańczę — mówiła Ajra.

— Nie tańcz! — prosiłem.

Ale ona puściła moją rękę, szybkimi ruchami zrzuciła z siebie  
suknie, raz,

dwa!... raz, dwa!... aż stanęła naga i, śmiejąc się lubieżnie, zaczęła  
tańczyć

kankana...

Zaskrzybiały i zaszeleściał}' pod jej nogami trupie głowy, a ona zalała  
się

kaskadami niemilknącego śmiechu ha... ha... ha... — ha... ha... ha...

— Ajro! nie tańczuj! — błagałem.

Ona porwała mnie nagle za ramiona i, pchając z całej mocy, wrzuciła  
w zimne,

wilgotne podziemie...

Widziałem, jak mój dziad umarły napół przegniłym ciałem się trzęsie  
i idzie do

mnie... Za nim szła moja siostra umarła i przyjaciele, znajomi...

Wszyscy

zaszeptali coś w swoich trumnach i szli... bladzi... wstrętni.

Tam — gdzieś... wysoko... na ziemi... Ajra tańczyła kankana...

Słyszałem, jak stopy jej zgrzytają po moim sercu; czułem, jak pleśń  
grobow

załazi mi za skórę...

I tak przebyłem w długich, długich męczarniach. Gdy oczy  
podniosłem na celkę,

nic się w niej nie zmieniło... Tylko się śmierć zbliżyła do mnie o  
miljony

kroków prędej. Tylko wspomnienia wczorajsze ożyły z całą mocą i z całą

wczorajszością...

Więc najpierw wyły i jęczały w duszy całym tragizmem mej indywidualności,

później zasyczały i rozpluły się w pomysłach jakiejś niebywałej zemsty,

aż wkońcu zatrzęśły się i parsknęły dławiącym chichotem ironji.

— Komizm sytuacji — mówiłem sam do siebie. Te dwa słowa przyczepiły się od

samego rana do biegu moich myśli, jak czasem przyczepia się na cały dzień jakaś

melodja, wiersz ulubiony, lub wspomnienie ukochanych rysów.

Słowa te tak dalece mi się podobały, że powtarzałem je tam nawet, gdzie napozór

najmniej były potrzebne.

— Czemu pan dziś nie wypił kawy? — pytała zakonnica.

— Nic!... komizm sytuacji — odparłem.

Ona spojrzała na mnie zdziwiona, i to mnie jeszcze bardziej utrwaliło w

przekonaniu, że jest to bądź co bądź wielki komizm sytuacji.

— Może mleka? — proponowała.

— Dobrze — odparłem — ale tylko dla komizmu sytuacji.

Przyniosła mleko w milczeniu, patrząc na mnie z wielkim lękiem, i był to dla

mnie największy komizm sytuacji.

— Jakże się czujemy? — pytał w chwilę później doktor.

— Bajecznie błogo — odparłem...

On zbójcecko-dyktatorsko-uprzejmym wzrokiem zaśmiał się do mnie i rzekł:

— O! widzę, humor się nawet panu poprawia. Jesteśmy więc na dobrej drodze...

A tak... ja to sam czuję... komizm sytuacji, doktorze...

— Jaktó?

— A no tak... śmierć... sekcyjka... bezsilność medycyny, trochę pociechy chrześcijańskiej... no, czy to nie komiczne?

— E! co pan też?... no, do miłego...

Ajra zastała mnie rozbawionego temi odwiedzinami lekarza i wpatzonego z uśmiechem w pułap.

Była dziś niezwykle podnieconą. Uśmiechem starała się pokryć jakąś wewnętrzną

burzę, ale drżały jej usta, i głos się łamał i obrywał, jak odmarzający śnieg

pod stopami podróżnika...

— Cóż? gotowaś? — spytałem.

Skinęła głową potakująco. Spojrzała na mnie z litością, czy wstrętem, urągając

mi i policzkując jednocześnie oczyma.

To mnie dogniotło... Cała drzemiąca we mnie nienawiść zbudziła się i zatrzęsała

nerwami.

I nerwy moje w tej burzy miały się już popruć i poprzerywać doszczętnie.

— Więc się rozbieraj! — szepnąłem.

— Nikt tu nie wejdzie? — spytała.

— Nikt.

— A doktor? A zakonnica?

— Byli już...

— A służba?

— Nie będę dzwonił... Możesz zresztą drzwi na klucz zamknąć.

— Prawda... prawda... — powtarzała.

I twarz jej w tej chwili się rozjaśniła.

Podeszła do drzwi... cicho, powolutku przekręcała

klucz. Za ledwie parę delikatnych zgrzytnięć mogłem wyłowić uchem.



— Już zamknięte — szepnęła.

— To dobrze, rozbieraj się...

— A czy można tam przy drzwiach? — spytała.

— Nie, nie! tu... mam przecie widzieć...

I znowu się zapłoniła tym ślicznie dziecięcym uśmiechem i, ociągając się niby,

pytała tak jak wczoraj:

— Koniecznie?...

— Koniecznie... — odparłem.

Z cudownym boskim spokojem i wyrafinowaną gracją bydłęcia, zwalniała swoje

rzeźbione, okrągłe kształty z szeleszczących jedwabiów.

Harmonijnymi, pięknymi

ruchami składała każdą część ubrania na kanapce — zwolna — ostrożnie — aby nie

pominać i nie uszkodzić cennych precjozów.

We wszystkim znać było wyuczenie i przygotowanie do odgrywającej się obecnie

sceny — świeże bielusie majteczki — czyściutka halka...

wyperfumowane

pończoszki... i tak wszystko wonne, odurzające, piekielnie piękne...

— Idziesz wprost z kąpieli? — szepnąłem, bo zdawało mi się, że robię jakieś

ważne, wielkie odkrycie.

— A skąd wiesz? — pytała.

— Nic... widzę... — odparłem brutalnie.

— Ho, ho... już to przed twoim okiem nic się nie ukryje — rzekła...

Ajra, bosko - piękna Ajra, siedziała na moim łóżku; na łóżku suchotnika i

zdechłaka, w całej rozkosznej nagości — zalotnie uśmiechnięta, lubieżnie

przechylona nad moim wstrętnym, chudym ciałem i świeżymi wiśniowemi wargami

szeptwała...

— Widzisz... wszystko dla ciebie.

A mnie zdało się naraz, że to nie Ajra siedzi przy mnie, lecz kasa pogrzebowa.

I zdało mi się, że jeśli kasę pogrzebową obezwładnię, to i śmierć samą obezwładnię.

Gwałtowna, błyskawiczna idea zemsty stanęła przedemną, jak anioł z płomiennymi

skrzydłami, i raz jeszcze ostatni w życiu podniosła mnie na nogi.

Szybko porwałem się z łóżka i chwytając leżące na krześle szelki, zacząłem bić

niemi Ajrę...

— Jezus Marja! co się dzieje!?! — szepnęła przerażona...

— Nic! kasa pogrzebowa!... kasa pogrzebowa! — rzeżałem...

I dalejże!... po ramionach... po udach... Aż szelki rzemienne furczały, aż

siniaki ciało okryły. Złożyła ręce jak do modlitwy i szeptała, ukazując głowę

na drzwi.

— Usłyszają... przybiegną... hańba...

— Niech usłyszają... niech przybiegną... — syczałem... Ręce mi w stawach

trzaskały, głowa kręciła się jak u pijanego, nogi chwiały się i skakały

podemną, a ja siepałem, trzaskałem, jak po martwej skórze, tłukłem jak po

bębnie...

Ajra, bosko-piękna Ajra, szczenię kasy pogrzebowej o przepysznych ramionach, z

siniakami na całym ciele, bita i smagana, z bezsilną pianą w ustach — zaczęła

chwytać naraz poukładane w porządku części

ubrania i mnąc je pierwszy raz może w życiu, wciągała na siebie szybko, bez ładu

— byle jako tako — byle się trzymało.

Pociemniało mi nagle w oczach — osłabłem — oparłem się o krawędź łóżka —

wspiałem się — raz, dwa — z całej mocy — i runąłem na pościel...

Ajra

przekreśliła klucz ze zgrzytem i wychodząc z celki, rzuciła mi złym, chrapliwym

głosem:

— Szu... brawiec.

## Z PONURYCH NOCY.

Kłamała... Wszystko kłamała co do jednego słowa.

Nie kierowała się przecie żadną rachubą, ani interesem. Kłamała dla przyjemności, dla sportu. Tak wiele prostytutek kłamie z nałogu, jak się z

nałogu upijają lub eteryzują.

Miała zaledwie dwadzieścia lat. Była jednak znacznie starszą i o wiele młodszą.

Cztery lata prostytucji porały w niej duszę i zmiotosiły młodość.

Cztery lata prostytucji — cztery lata chodzenia po ulicy od piątej w wieczór do

trzeciej po północy — od rogu do rogu — tam i napowrót... Taka była umowa ze

"starą".

Resztę czasu mogła poświęcić sobie, znajomym, kłótniom z koleżankami, ekstra-

nadzwyczajnym zarobkom, sztuce i literaturze, pijanym alfonsom, mnie... komu i

czemubądźkolwiek — wolna wola — według chęci i upodobań.

Lubiłem ją za jej smutną, zrezygnowaną młodzieńczość i cyniczną starczość.

Umiała być naiwną marzycielką i nieświadomą artystką. Kłamstwa jej były

subtelnie wyrafinowanymi wizjami i poetyckimi utworami, nieujętemi w formę

sztuki. Słowa jej nabierały prawdopodobieństwa, nie-

bywałe wypadki i zdarzenia wydawały się prawdą, kłamstwa  
graniczyły niemal z  
twórczością.

Miałem wtedy wyplamiony surdut i podarte buty. Znajomi nie  
spostregali mnie,  
lub śpieszyli się dokąds. Zacząłem sam nie spostregać i śpieszyć się.

Na  
szczęście spostregłem Lidę i ona mnie spostregła... Mieszkaliśmy w  
jednym

domu. Przyszła do mnie ot tak sobie... po zapalki... Nie były jej  
właściwie  
potrzebne, ale takie dziewczyny lubią niekiedy przychodzić po  
zapalki.

A później już codzien przychodziła.

Tak się zaczęły nasze ponure noce.

Siedzieliśmy zawsze po ciemku. Najmniejsza smuga światła psuła jej  
twórczość...

Szczelnie sztorami okna osłaniałem, aby nie dopuścić najlżejszego  
światlnego  
płomyka...

A noce szły...

\* \* \*

Przyszedł do starej jakiś nieznajomy. Widać zresztą: porządny.

Wysoki był i

cienki. Pamiętam — wszystko na nim było cienie i wysokie: od  
butów do

kołnierzyka. Czarny był i nieprzyjemny. Najwięcej bałam się oczów,  
bo ich nie

widać było z za czarnych okularów. Wybrał mnie i dał starej  
pieniądze. Nie wiem,

czemu bałam się ogromnie. Wprowadził mnie do karety —  
pojechaliśmy. Patrzę: w

karecie trumienka mała... Przełękłam się i pytam, co to za trumienka?  
Ale on nic  
nie odpowiedział. Zdawało mi się wtedy, że jadę na cmentarz, i że  
mnie zaraz  
pochowają... Zaczęłam się

modlić... Jechaliśmy tak ze dwie godziny, a może i więcej...  
Zatrzymaliśmy się w  
lesie. Między drzewami dom — światła — prowadzi on mnie, ale nie  
mówi ani słowa.  
Weszliśmy do pokoju... Na katafalku trup leży... Zaczęłam dygotać na  
całym  
ciele, ale słowa przemówić nie mogłam. Coś mi zatkało gardło.  
Zaklaskał, i zaraz  
czterech czarnych przyszło takich jak on. Nic do mnie nie mówili,  
tylko brali  
mnie za ręce, nogi i położyli na drugim katafalku. Obstawili mnie  
świecami...  
trask... drzwi na klucz zamknęli i wyszli... Zamknęłam oczy, ale zdaje  
mi się  
trup su — su — i do mnie idzie. Coś mi oczy podrzuciło do góry...  
Patrzę...  
stoją nademną wszyscy czarni i kiwają łbami.....Jezus Marja!"... —  
myślałam —  
"widać mnie już nie wypuszczą... " Ale kiedy się ranek zrobił,  
podnieśli mnie z  
katafalku i znowu zaprowadzili do karety. Tensam czarny ze mną  
jechał. Dowiózł  
mnie do miasta, dał sto rubli, i machnął ręką, żebym już szła... Później  
mi  
starsze kobiety mówiły, że takie wypadki już się zdarzały. Bo to są  
podobno  
jacyś masoni, czy tam jak, co przy trupie muszą mieć taką kobietę.

Nie przerywałem jej ani słowem. Wiedziałem z doświadczenia, że to  
jej sprawia

przykrość. Głowę oparłem na jej kolanach, leżąc w ubraniu na kanapie. Słyszałem co chwila, jak głos jej drży i przecina się w jakieś chropawe obryzgi. Naraz wydało mi się, że słowa jej wychodzą z ja-

kiejś próżni, skądś wysoko nade mną, jakby z pułapu — wyżej jeszcze.

Rękę wyciągnąłem do jej twarzy, by stwierdzić, czy to naprawdę ona. Zatrzęsła się w przerażeniu.

— Jezus Marja! zdawało mi się, że to trup — wyszeptała.

Zacząłem ją głaskać po twarzy.

— Uspokój się, dziecino... uspokój... uspokój...

— Nic, nic... już przeszło... opowiem teraz panu inne zdarzenie...

— Dobrze, opowiedz.

— Więc słuchaj pan... Było to w zeszłym roku... przyszła do nas faktorka i chce

— powiada — do hotelu kobietę.

Takiej niby potrzeba, co to jeszcze nigdy nie tego. Wiesz pan?... My wszystkie w

śmiech. A ona i stara z góry na nas... Wszystko jedno — mówią — nie pozna się.

A czy to raz było? Więc znowu mówią, żebym ja szła. To będę nieruszaną udawać? —

mówię... A nieruszaną — mówią. Ubrały mnie w krótkie spódniczki — poszłam.

Wprowadzają mnie do hotelu... Patrzą, stary aż trumną zatrać.

Uśmiecha się tak,

a gada, a ja nic, tylko trupa widzę. To on mnie całować po twarzy, po rękach, a

mnie mdli tylko... "Wstydzisz się?" mówi. Głową tylko kiwnęłam, bo mnie strach

zbierał coraz bardziej... Dalej mi on rozpinać stanik i w piersi całować... mnie

nic, tylko trup i trup... I już nic nie myślę, tylko aby prędzej z tej trupiarni

uciec. "Na li-

tość Boską! prędej" krzyknęłam. Jemu się wargi wtedy jakoś  
zatrzęsły, nogi mu  
dygotać poczęły i takimi zimnymi drżącymi palcami porwał się mnie  
rozpinać i  
rozsnurowywać. Nie wiem, skąd mu się tyle siły wzięło? przeniósł  
mnie na łóżko  
lekką jak piłkę... położył... zakryłam oczy... Nie wiem, co już było  
dalej, bo  
zdawało mi się, że zmora mnie przygniata. Naraz coś zatrzęsło się na  
mojej  
piersi i chrapnęło... Zerwałam się na równe nogi... Od ciała mego  
odskoczył  
zimny trup i upadł powalony jak kłoda na ziemię. Wybiegłam w  
koszuli na  
kurytarz, zaczęłam wołać służby... Zbiegli się: ten to, tamten owo...  
ubrałam  
się — chcę do domu. Ale oni — nie! Sprowadzili policję, wzięli mnie  
do  
cyrkułu... Dopiero sprawdzać, spisywać, jak to wszystko było? A ja  
nie  
wiedziałam nic, więc mówię, że nie wiem. A oni "nieprawda!"  
Dopiero na trzeci  
dzień mnie wypuścili, bo powiadają, doktorzy już sprawdzili, od  
czego umarł, to  
ja ich pytam od czego, a oni mówią "a od tego, że z tobą spał". Od tej  
pory jak  
śpię z gościem, to zdaje mi się, że on umrze, jak tamten.  
— I tak bywa mi codzień, codzień — dodała... Nagle szlochać zaczęła  
cichym  
nieutulonym płaczem dziecka...  
— Lida! co ci jest? — uspakajałem.  
— Nie rusz mnie pan... Nic... nic... to przejdzie — O mój Waciu,  
drogi  
Waciuniu!

I naraz wpadła na najsmutniejszy temat swej chorej fantazji, na przedmiot swoich najboleśniejszych,

najstraszniejszych przywidzeń, na manję nieistniejącego może nigdy kochanka...

Olbrzymia, fantastyczna postać Wacka zjawiała się w jej opowiadaniach ze wszystkimi ludzkimi przymiotami i wadami, zmieniała fizjognomję w różnych okolicznościach, była jednak dla Lidy tym, bez czego życie samo nie miałoby rozumnego wytłumaczenia.

— Lida! Mów mi o Wacku — szepnąłem. Chciałem w ten sposób sprowadzić wybuch, po którym zwykle następowała reakcja, — spokój i sen. Ona zatrzęsała się histerycznym długim śmiechem i z gniewem w głosie spytała:

— A co jeśli nie powiem ?

— Pogłaszczę cię wtedy po twarzą ot tak... ot tak... i będziesz mówiła.

Lida przysunęła się do mnie ustami i strasznym trwożnym szeptem odsuwała niby rąbek tajemnicy, o której nie wiedziałem jeszcze.

— A czy pan wiesz, że on mnie zabije?

— Lida! skąd myśli takie?

— Skąd? a panu się zdaje, że ja warjatka może? Skąd ja wiedzieć mogę, że zbój zabijać musi? Panu to dziwne?

Zmora lęku niewytłumaczonego zwała się na mnie i trzęsała nerwami. Słyszałem niemal kroki jakiegoś wstrętnego przywidziska,

które, skute w materialne nieludzkie kształty, wychylało bezzębną twarz, aby

mnie przerazić i dokonać zemsty, przed którą zasłaniają się wszystkie zwierzęce



instynkty.

Czułem, że słowa Lidy sugiestjonują mnie i za-

bierają pod swe władanie. Całym wysiłkiem woli broniłem się tej przemocy, a wiedziałem jednocześnie, że wszystko się we mnie łamie i rozprzega, rozpada i rozlatuje.

— Lida! nigdy nie mówiłaś mi o tym — nigdyś się nie bała.

— Mówić? a pan myślisz, że kobieta publiczna to zaraz panu całe to morowe

powietrze z pod serca wysypie, żeby się pan nim najadł? to pan myślisz, że jak

do mnie przyjdzie pierwszy lepszy bydlak, to ja mu także wyskoczę z prawdą, jak

z łydkami? to pan myślisz, że kobieta publiczna ma mniej ambicji, niż te krowy

salonowe, co to się tłuką po kawalerskich mieszkaniach "na miłość", a przy

mężach minują, jak świętoszki? A pan wiesz, że ja mogę panu łąć i łąć i łąć,

jak suka...

— Lida! ty jesteś biedne dziecię — połóż mi rękę na głowie, bo mi smutno...

— A pan wiesz, że ja jestem zarażona i jutro mnie odprawią do Łazarza?

Zaczęła cicho, cicho łąć, jak tylko łąć umieją noce letnie i... prostytutki...

— Lida! przytul się głową do moich piersi... ot tak... dobrze... I mów teraz...

Kiedy się to stało?...

— At! mniejsza o to! a bo to ja pierwsza? Mańka trzy razy była.

Felka powróciła

niedawno. "Wypoczniesz sobie", mówią. A zresztą i tak i tak kostucha przyjdzie

po człowieka... Mam gnić pod kościołem, albo w śmietniku  
pogrzebaczem dłubać, to  
niech mnie djabli lepiej porwą. A przyjdzie pan do mnie do szpitala?

— Przyjdę, Lido! Codzień cię będę odwiedzał.

— A to pan nie wiesz, że pana wezmą za alfonsa?

— Niech biorą! Rozgniewała się nagle.

— Niech biorą! niech biorą! — powtarzała z przekąsem — pan jak  
dzieciak

gadasz... A jak panu później zaczną pluć w oczy, jak ta cała zaraza  
zacznie

deptać po głowie, a odwracać się — co? Kto panu wtedy kawałek  
ochłapa do gęby

podrzuci? Myślisz pan? — pożałują? — rozplaczą się? — I tak już  
pan łazisz

głodny i obdarty... Żebyś pan był kobietą, tobyś pan już dawno  
zarabiał, tak jak

ja. Może nieprawda? A tak... co? z nożem pan pójdiesz? Masz to pan  
tyle smrodu

w sercu, co Wacek? Potrafisz pan zatańcować z życiem, jak on?... ten,  
ten

zbój?!...

I nagle zatrzęsła się znowu dreszczami nieopisanego przerażenia.

Palcami

wciskała się w moje ramiona. Czułem, jak wszystko w niej skacze i  
cofa się w  
oniemieniu.

— Na litość Boską, panie! — jęknęła — on tu przyjdzie, zabije...

Jednocześnie usłyszałem zgrzyt otwieranej bramy... Kamienne schody  
zaszeleściały

odgłosem szybkich stapań.

— Idzie już, idzie — szeptała.

Porwałem się z podniesionymi włosami strachu. Zatrzasnąłem drzwi  
na zatrask...

Klucz przekręciłem raz... drugi raz...

Buty z nóg ściągnąłem, aby nie być przez niego słyszany.

Byłem już pewny, że idzie, zabije...

Od drzwi do okna... Szarpnąłem sztorę, pociągnąłem — aby choć odrobinę światła... Lecz głucho i czarno było jeszcze za oknem. Niemiły listopadowy wiatr drapał niekiedy po szybach. Ciężka krepka ciemności wisiała nad nami. Przycisnąłem się do Lidy i gładząc jej włosy, szeptałem: — Nie dam, nie dam... Ona jeszcze raz zadrżała i rękami ścisnęła konwulsyjnie moją rękę, głowę oparła na moim ramieniu, ł już nic... ani jednego słowa. Za drzwiami ktoś stał i słuchał — cicho — po szpiegowsku. Ruszyła się raz i drugi klamka, ale lekko... jakby ktoś próbował tylko... Wsłuchałem się z nateżoną uwagą, zaparłem oddech. Zdało mi się, że ktoś odchodzi, później znowu zbliżał się pocichutku do drzwi... I znowu wracał... Później szeptał... Więc było ich może dwóch ? A może więcej jeszcze? A może nikogo nie było, prócz naszej halucynacji. Leniwie, ociężale, jakby drwiąc z ludzkiego bólu, wychodził na spotkanie z nędzami życia brudny, apatyczny świt, podobny do pijaka z podbitymi oczami, który rozgląda się trwożnie na wszystkie strony, aby go nie przekleło oko szyderstwa. Lida, oparta ciągle na mym ramieniu, spała cicho... tak cicho, że nie słyszałem nawet jej oddechu. Oczy przymykałem co chwila, aby się zmusić do drzemki, ale jakaś biała, sucha trwoga podnosiła mi

ciągle powieki. Do pokoju wpływały smugi światła coraz wyrazistsze, pełniejsze.

Poczęły mnie oblewać jakieś zimne lodowe dreszcze ni to apatji, ni to strachu...

czegoś, co jest wielką udręką, ale nie ma siły wybuchnąć... ot tak leży na duszy

i boli... leży i boli...

Mrużyłem oczy i otwierałem, patrzyłem uporczywie na drzwi, ale już nikogo nie

czekałem... Wiedziałem, że nikt nie przyjdzie... po co?... Nie miałem tylko dość

siły, aby wstać, lub ruszyć się, myśleć, lub spojrzeć choćby na Lidę.

A Lida spała... Nie rozbudziła się nawet wtedy, gdym wkońcu wstał i podszedł do

stolika. Tylko jej głowa zachwiała się jakoś bezwładnie i na kanapę stoczyła —

sen mocny... I wtedy nie rozbudziła się, gdym zapalił papierosa i popielniczkę

stłukł przez nieuwagę.

Nie rozbudziła się i wtedy, gdym buty na nogi naciągnął i drzwi z trzaskiem

otworzył.

Nie!... Lida nigdy się już nie rozbudziła dla mnie.

\* \* \*

Gdym wrócił koło południa do mieszkania, Lidy nie było już... I nie było już jej

nigdy... I próżno pytałem o nią. Lida przepadła w nurtach ludzkiego tłoku.

Uciekła odemnie i od ponurych nocy...

DZIWNE RZECZY.

Czy znacie te ciasne warszawskie zaułki z wypaczonemi, jak dusze ludzkie,  
brukami? te wązkie uliczki, spadające od Starego Miasta na dół ku Wiśle  
kamiennymi schodami? Czy znacie ten długi apatycznie zimny rynsztok, zwany  
Rycerską ulicą, gdzie brudne nieotwierane nigdy okna lupanarów przyglądają się  
sobie z dwóch stron zaułka takimi pełnymi rezygnacji oczami, jak wystające w  
sieniach upiory kobiet?  
Tam — w sąsiedztwie tych mętów, zasłaniających się niedbałą dłonią od  
eleganckiego życia — w jednej wilgotnej norze, zwanej kawalerskim mieszkaniem —  
spędziłem wiele, wiele samotnych nocy.  
Na schodach ulicy pod moim oknem rozgrywały się przerażające sceny — błyskały i  
krwią się czerwieniły noże — szamotały się i przewracały w zawziętych walkach  
ciała — wstawały i umierały jęki — tarmosiły się i buchały klątwy — pluskała i  
chlupała krew — wyła i trzęsła się chrapiąca brutalna miłość.  
Warszawa używała życia i darła się całym rozpędem młodej energii w samo centrum  
europejskiej cywilizacji: wydawała corok pół uczonego i tysiąc dziennikarzy,  
Warszawa nie szczędziła ani jednego wysiłku, aby stworzyć wielki handel i wielką  
nędzę, Warszawa

stała się rozpieszczonym dziecięciem kultury — codzień poeci i lekarze pili  
czarną kawę i robili poezję i medycynę — codzień pod moim oknem rozgrywały się

fatalne, przerażające sceny. Człowiek przywyka do wszystkiego. Traci najpierw

sen i apetyt, burzy się i szamoce, przeklina i odwraca się ze wstrętem...

Powoli, powoli wyżłabiają się w nim takie nic nie znaczące bruzdy — bruzdeczki,

traci nieco wagi ciała, której nie nabędzie już nigdy, ale obojętnieje już na

wszystko, nie dziwi się niczemu — owszem, dziwi się tylko, że mógł się być

kiedyś dziwić.

Pod oknem moim rozgrywały się codzień sceny, które mi powykręcały wszystkie moje

dobrze i wygodne zasady; rozgrywały się sceny, które zzezowaciły mi na całe życie

oczy, jednak dziwnie stwardniałem, zeszywniałem...

Z głuchym spokojem przechodziłem, gdy mi siedmioletnia dziewczynka miłość

lesbijską proponowała — nie odwracałem się nawet.

Nie dziwiłem się, gdy matka targowała się z faktorką o cenę córki.

Widziałem pięcioletniego cherubinka, zapraszającego do mamusi na łóżeczko... I

szli... A cherubinek wódkę łykał i papierosiki palił. — Przytym kłąć umiał takim

wyuzdanym językiem, co to gości bawi... Często na piwo mu wyrzucali...

Widziałem ośmioletniego szczeniaczka, co zabawiał się nieprzystojnie z młodszą

siostrzyczką. Ojciec prał małego i siniaczył... Szczenię poczuło w sobie bunt —

pyrneło starego nożem... Sprawa nie oparła się jednak

o cyrkuł — tu wszystko załatwia się w domu... Ojciec połamał szczeniakowi

nogi... W ten sposób uszczęśliwił go — dał mu na całe życie kawałek chleba —

dziecię z połamanymi nogami zarabia odtąd zebraniną i jest magnatem  
w swojej  
sferze.

Widziałem dzikie, pianą ziejące zemsty i roztrzęsione w bójkach  
bezkształtne  
kawały mięs ludzkich, widziałem pijackie orgje chuci rozbechtanych,  
widziałem  
bunt i zwyrodnienie, krzywdy i zbrodnie — z dnia na dzień tłukły się  
pod moim  
oknem — straszne, rozbabrane we własnym grzęzawisku.  
Przesuwały się koło mnie, jak kronika, którą się czyta kartka po kartce  
— z

napiętą uwagą. Na widowni dziejowej tętnią rozhukane rumaki  
wypadków... Już  
przeszły, już miejsca innym ustępują...  
Tak przechodziło koło mnie wszystko, ale już nie porywało stylem, —  
zastawało  
mnie raczej drętwego, zimnym skupieniem otoczonego.  
Raz jeden jedyny chciałem wydrzeć pomiętą kartę tej krwawej kroniki  
i podeptać  
ją — już, już wyciągnąłem rękę — i cofnąłem się w poczuciu własnej  
niemocy... A

kronika ugrzęzła mi w sercu na długo...

Czekajcie! — odczytam.

Północ, zda się, już była... Siedziałem na oknie i bawiłem się w jakieś  
bezsensowne porównania. Coś w rodzaju tego: księżyc na niebie, a ja  
na oknie...

To mnie ogromnie śmieszyło... Nie znaczy przeto, abym się śmiał, lub  
był

usposobiony choćby do śmiechu, a po prostu tylko śmieszyło... to  
znaczy: było

mi, jak zwykle, cokolwiek niewygodnie na świecie. Nie mia-

łem zresztą żadnych wrażeń, starałem się też nie miewać myśli...

Siedziałem więc

na oknie i robiłem bezsensowne porównania... Ja byłem na oknie, a księżyc na niebie.

Naraz krzyk... Nie! nie krzyk... zgrzyt jęku, a raczej nawet nie jęku — pisku

może — przydławionego wycia... Ale to nie określa jeszcze tego, co słyszałem...

Rozpacz, przerażenie, wstręt, ohyda... ale i to nie odmaluje barwy tego rozdartego dźwięku... Zakołysał się i zastygł... pękł, połamał się w jakieś

ciche bydlece jęki...

Wyjrzałem przez okno...

Na schodach leżała dziewczyna. Dwuch pijanych drabów trzymało ją... Trzeci

gwałcił, powtarzając czkającą chrypką:

— Nie bój się, diabli cię nie wezmą.

— Precz psubraty, bo strzelam — krzyknąłem. Draby parsknęli wesołym śmiechem.

— Chodź! psia twoja pieska mać — wołał jeden, pokazując mi ostrze noża.

Wybiegłem z mieszkania... W każdym nerwie czułem tysiące wbitych szpilek...

Gdy znalazłem się na schodkach zaułka, dziewczyna biegła już pod górę,

przesadzając po pięć stopni naraz. Było to może piętnastoletnie dziewczę

zaledwie... Schwyciłem ją za rękę, bo zdało mi się, że jej pomoc mogę... Silnie

przyciągałem ją do siebie, aż się zachwiała i nie upadłaomal.

Przebiła mnie zzieleniałym wstrętem skrzywdzonego dziecka i popchnęła. Runąłem,

wycinając głową o kamień... Dziewczyna pomknęła...

Niżej — podemną stali złoczyńcy... Z ciekawością przypatrywali się całej



scenie... Podniosłem się — z głowy broczyła mi krew... Stałem w milczeniu, nie mogąc zebrać myśli... Oni przywlekli się powoli do mnie i zatrzymali się.

— A to cię gabnęła — zaśmiał się jeden z nich. Drugi wpatrzył się we mnie i rzekł:

— A toś ty, brachu, z okna ryczał? Nie odparłem mu nic.

— A co? przedziurawić cię?...

Wtwarzył się w moją twarz, błyskając mi przed oczami ostrzem noża. Wyjąłem bezwiednie rewolwer i podałem mu go, sam nie wiedząc, czemu to czynię.

— Masz i to... nie boję się ciebie...

— Daj mu spokój — rzekł naraz trzeci... Poznałem w nim gwałciciela...

Prawdopodobnie

ocalał mi teraz życie... Nigdy nie zapomnę jego naiwnych, szeroko rozwartych oczów...

Poszli wszyscy trzej pod górę... Ja wlokłem się bezmyślnie na dół...

Oto moje

okno nade mną. Pod oknem miejsce zbrodni. Na schodkach stłuczona butelka...

Nachyliłem się... Recepta... Data zaledwie dzisiejsza... Więc ktoś chory, może umierający...

Niosła lekarstwo... Ale dla kogo?

Nie miałem się już nigdy dowiedzieć, kto była dziewczyna.

Poznałbym ją w tysiącu kobiet.

Od tego wypadku wiele czasu minęło. Po sercu moim deptały inne wstrząśnienia...

Los zdążył mną rzucać po świecie — na prawo i na lewo — do góry i na dół... W

pamięci zacierała się kronika Starego Miasta, ustępując miejsca innej,  
jeszcze

zawilszej...

I znowu się znalazłem na warszawskim bruku. Zamieszkałem teraz w  
dzielnicy

rękawiczek i parasolek... Zbrodnie i krzywdy nie wyły już pod moim  
oknem...

Chodziły zlekka już tylko podkasane, ale opięte według ostatnich  
wzorów mody...

trochę wstążeczek, trochę piórek...

Mieszkanie moje było suche i słoneczne... Rozkoszowałem się nim  
tydzień i

drugi... Naraz poczułem, że mi rdzewieje serce... Sen już odleciał od  
mojego

łóżka... Zacząłem tęsknić za Starym Miastem.

Wkrótce znalazłem towarzysza... Towarzysza nie zawsze łatwo  
znaleźć.

Janusz znał wszystkie jamy i wertepy gruntowniej niż ja... Rozbratany  
ze światem

krzywdy tragiedją talentu, dusił się w swoim schludnym,  
wypieszczonym przez

matkę pokoiku i zamierał.

Otrzymała od natury rzewność poparzyła się punktualnością obiadów  
i śniadań,

wytwornością i ogładą uśmiechów...

Janusz uciekał na Stare-Miasto, na Kanonję i Rycerską; na Mostową i  
Bugaj, na

Furmańską i nad Wisłę.

Zwiedzaliśmy razem lupanary i szynki, włóczyliśmy się nocami po  
piaszczystych

brzegach Wisły, obchodziliśmy imieniny prostytutek, zapijaliśmy się  
wstrętną,

cuchnącą wódką z nożowcami...

Janusz z nieporównanym mistrzostwem grał na sercach, umiał  
wydobywać

najsubtelniejsze strunki, najdelikatniejsze drgnienia.  
— Janusz! psia twoja mać! — mówił nożowiec Lichtarz, przeważnie  
Lichtą zwany —  
ja za ciebie, cholera! — chyba duszę bym wytrząsał...  
Lichta był od dłuższego czasu naszym przyjacielem...  
Przez Lichtę poznawaliśmy całą jego sferę...  
Lichta otaczał nas braterską prawie opieką i psim przywiązaniem...  
Lichta odkrywał oczom naszym całą swoją załachmanioną duszę —  
skiba po skibie —  
kawał po kawale.  
— Macie! — frajerska dola wasza! — gnidki jedne! To wam Lichta  
gada...  
Zapamiętajcie sobie...  
Lichta był prawie nieodstępnym towarzyszem naszych wycieczek.

\* \* \*

I zdarzyło się raz pewnego, że Lichty nie znaleźliśmy...  
Szukaliśmy tu i owdzie, gdzie mógł być, gdzie niemal powinien być...  
Ani  
śladu...  
Poszliśmy na Kanonję...  
Była może dwunasta, może później...  
Posiedzieliśmy z pół godziny na kamieniach...  
Stróż nocny wdał się z nami w gawędkę... Dowiedzieliśmy się, że ma  
czworo  
dzieci... Najstarsza córka "w łajdactwo się wdała"...  
Wypalił z nami kilka papierosów...

Poszliśmy na Rycerską...  
Przed sienią siedziało na ziemi pijane nieszczęście... Paliła papierosa i  
nęciła  
nas chrypką... Tuż przy samym murze leżało kilka łachmanów... Nie  
dziw — Noc  
była letnia... Na odgłos naszych kroków łachmany poruszyły się i  
zagadały...

Wyjrzały z pod chustek twarze...

— No co?

— My właściwie — rzekł Janusz — szukamy tu przyjaciela.

— Głupi na! — zawarczała jedna. Łachmany otoczyły nas w koło.

Poczęły nas ciągnąć

za ręce, nachylać się do naszych twarzy.

— No, zróbże pan początek.

Sięgnęliśmy do kieszeni... Zaczęliśmy rozdawać po złotówce — po czterdzieści

groszy... "Na początek"... Ręce się od nas odsunęły.

— Dobrze i to — rzekła któraś.

Były zadowolone, ale nie zadziwione. Tam nic nie dziwi. Tylko siedząca jeszcze

przed sienią wyciągała rękę i zapraszała:

— No? może do mnie?

— Nie! — odparłem... Jednocześnie podawałem jej złotówkę...

— A to po cholere? — zachrypiała...

— Nic... tak... pożyczam...

— A bo to ja pana znam? Dorzuc pan drugą złotówkę i chodź.

— Nie mogę...

— No to idź pan na zbity łeb...

— Masz... oddasz kiedy — mówiłem...

Porwała nagle pieniądź i trzasnęła mnie nim w ucho...

— Masz na śmiertelną koszulę.

Z leżącej na ziemi kupy wydarł się śmiech.

Janusz pociągnął mnie za rękę...

\* \* \*

Stare-Miasto, objęte ciszą, stało, jak człowiek, co stanie i słucha...

Szliśmy powoli... Po chodniku przechadzał się tam i napowrót jakiś człowiek...

Przystawał, gdyśmy go wymijali — powracaliśmy — on znowu chodził...

— Alfons pewnie — szepnął Janusz — podejźmy do niego.

— Dobrze... Podeszliśmy...

— Przepraszam bardzo pana — mówił Janusz — możeby pan nam pomógł?

Uśmiechnął się ironicznie. Miał zresztą piękną melancholijną twarz bruneta i

wyglądał z tym uśmiechem jak królewicz.

— Pomóc panom? A to w czym?

— Widzisz pan, ja sam nie wiem, jak to panu wytłumaczyć?...

Chcielibyśmy no...

spędzić parę godzin w miłym towarzystwie...

— Tek? no... no... a Nowy-Świat? A Krakowskie?

— Właśnie idziemy stamtąd... Za nudno...

— Zamierzaliśmy — wtrąciłem — do Kawałka... Ale nie pamiętamy, pod którym numerem. Byliśmy wtedy zupełnie pijani...

— Do Kawałka? no, no... to mi dziwno... nie słyszałem... A kiedyż to panowie

byliście u tego Kawałka?

— Niedalej jak miesiąc temu.

— Miesiąc?... hm... no i tak? we dwóch?... jak teraz?

— E, nie! zaprowadził nas tam nasz przyjaciel Lichta.

— Przyjaciel Lichta? Także nie znam... A skądże panowie poznali jakiegoś tam

Lichtę?

— O panie! to już stare dzieje... U Gulasa. Nieznajomy zdumiał się na chwilę.

Gulas był to

zbieg — recydywista z ciężkich robót. Znać Gulasa znaczyło to być albo policją,

albo nożowcem. Trudno mu widocznie było zaliczyć nas do którejś kategorii.

— Gulas? — rzekł z dawnym uśmiechem — także nie znam. Ale o co panom właściwie

chodzi?... Napić się chcecie?

— No... i napić.

— A to proszę...

Wyciągnął z kieszeni butelkę wódki... Podał Januszowi... Janusz trzasnął butlę o łapy... Korek wraz z lakiem wyskoczył na kilka łokci do góry... To zaimponowało nieznajomemu.

— Nasze kawalerskie.

— Nasze.

— Ale ba... pijemy razem, a nie przedstawiliśmy się sobie.

— Nazywają mnie Władkiem.

Wychlaliśmy całą butelkę. Zakąsiliśmy papierosem. Władek tracił nieufność do nas.

— Jakże teraz będzie? Pan nas częstował, my teraz pana musimy...

Przyjrzał się nam raz i drugi. Uśmiechnął się, spoważniał, znów się uśmiechnął... Po twarzy przebiegły mu zielone błyskawice. Czoło się bruździło,

wyginało. Wreszcie się wygładziło... Ogarnął nas spokojnym okiem.

— Dobrze, chodźcie panowie. Ale gdzie chcecie?

— Możeby do Kawałka.

— Kawałek już zamknięty. Wydłubali go...

— Więc prowadź pan gdziekolwiek.

— Dobrze... Zaprowadzę panów w samą grandę. Tylko nie bójcie się nic.

— O myśmy, panie, już chodzili.

— Tak. Z Lichtą, albo z Gulasem. Co? to nie sztuka.

— A teraz idziemy z panem.

— Jakbyś pan wiedział, że ze mną. I powiadam panu: Ot tu, na ten majcher się pierwszej nadzieje, psia jego pieska mać, nim panom krzywdę zrobi. Chyba mnie trupem położy.

Wyjął nóż i, trzymając go w rękę, stał tak groźny, pół natchniony, pół przeklinający.

Janusz wyciągnął do niego rękę i rzekł:

— Władek! mów mi po imieniu. Chcę być twoim przyjacielem.  
— A ty, Janusz, cholera jesteś nie człowiek, wiesz? Tybyś samego  
djabła,  
draniarzu, za kopyta mógł łapać.  
— Ech wy! wasze chorobne nasienie — dorzucił z jakąś dziwną  
rzewnością.  
Ujął Janusza pod ramię, mnie z drugiej strony, i tak szliśmy w  
towarzystwie  
poznanego przed chwilą nożownika, z pełną ufnością powierzając mu  
życie.

— Oho — szepnął — druga bije. Najlepszy czas... Schodzą się...  
A było co widzieć u Kłobucha!  
Przy niewielkich kwadratowych stołach zżymał pięści i wybuchał  
gniewem, lub  
radością hazard. Nieme oczekiwanie wpijało się w przewracane karty.  
Śledzące  
oczy szły za ruchem rąk. Nad głowami wisiały kłęby dymu. Gwar  
zagłuszał się  
gwarem.... Ostry zapach spirytusu i piwa mieszał się z przypalonymi  
swędami  
wątróbki...  
"Granda" bawiła się całą pełnią młodych sił.  
Tu i ówdzie przycupała na palcach chropawa melodia jakiejś głuchej  
pieśni. Tam  
pięścią w piersi kołatały ponure zwierzenia. Wywijały usta do  
uśmiechu cyniczne,  
rozebrane do koszuli żarciki. Budziły się na zew alkoholu tkliwość i  
tęsknota,  
żał i ponurość.  
Nad wszystkim rozpościerał się ciężki, przygniatający czad, ale  
zarazem dziwny,  
odrębny liryzm.  
Trąbiliśmy z Władkiem obrzydliwą, z arakiem mieszaną wódkę.  
Władek opowiadał nam  
historję powieszzonego przed kilkoma laty nożownika.

Nikt, zda się, nie zwracał na nas uwagi.

— Co? może się panowie do nas przystawicie? — zwrócił się do nas  
któryś z  
szulerów.

Władek mrugnął na nas.

— E! za stare wróble jesteście — zaśmiał się Janusz.

Odpowiedź zdziwiła ich, ale podobała się. Tam trzeba się czuć "u  
siebie".

Swoboda i szczerłość przede wszystkim.

— Ja zato szpakami karmiony — odrąbał szuler.

— My także nie plewami — odparł Janusz. Wszyscy zaśmiali się.

Szuler odwrócił się od nas i rzekł:

— E! pies ich trącał.

Władek podniósł się z krzesła, aby dać znać gospodarzowi, że go  
potrzebuje.

Nagle jeden z szulerów odsunął krzesło.

Władek grzmotnął na podłogę całym ciężarem ciała...

Przy stołach zakipiał śmiech.

Władek wygramolił się z ziemi. W oczach skakały mu pioruny.

Mięśnie trzęsły się

i dygotały, niby zżymając i rozżymając twarz.

— Który to? — ryknął.

Szulerzy stanęli przy ścianie, przyjmując obronną postawę. Chwila  
jeszcze, a

zmienia się w napastników.

— A bo co? — spytał wyzywająco sprawca.

— Co? a bo ty wiesz co?

Dzika, rozdrażniona groźba wystrzeliła w oczach i głosie.

Władek mierzył przeciwnika już nie spojrzeniami, lecz całą  
zbojeckością swej

duszy. Z twarzy jego wyglądała krew i zbrodnia.

Przysunęli się obaj do siebie tak, że niemal opierali się twarzami...

Zdało się,

że się przeszywają wzajemnie oczami i mordują. Splątała ich i rzuciła  
przeciw



sobie jakaś tajemnica, której bali się wypowiedzieć. Żadnych wyjaśnień!...

padały tylko krótkie urywane wyrazy, pełne niezrozumiałego dla nas znaczenia.

— Wiem?... a wiem.

— Wiesz?...

— Wiem.

— A nie wiesz!

— A wiem...

— Tak?

— A tak!...

— A może nie?

— A tak...

— I wiesz?...

— Wiem...

Wmieszał się w całą sprawę gospodarz. Lecz i ten nie wiele mówił. Gromił ich

tylko — zdało się — spojrzeniami i rozpędzał nimi od siebie.

— No, Władek! Józek! co?... no?!... no?!... Władek... Ale już i Janusz odzyskał

równowagę. Wlazł tam

w tę kupę... coś anielskiego było w nim wtedy.

— Na litość Boską! panowie! O cóż chodzi?

— A pana nikt nie rusza, to se pan stercz — rozgniewał się szuler.

— Mnie nikt nie rusza... wiem. Ale mego przyjaciela ruszają.

— Przyjaciela? — zdziwił się szuler. A Władek na to:

— A tak... wiesz?

— Tak?

— A tak.

Towarzysze odciągali już Józka. Myśmy pociągnęli Władka — uspokoiło się.

— Pijcie, pies z waszą dolą tańcował, ja teraz stawię — mówił Władek. —

Gospodarzu! tej od robaka.

A robak gryzł go widocznie przez wszystkie otwory

duszy, bo oczy z tą groźbą jeszcze przyschniętą tłukły się i cofały gdzieś... w

głębie przyczajonej zemsty.

Piliśmy kielich po kielichu. Czuliśmy, że ta "od robaka" struje nas doszczętnie..

Kołkowaciały nam już języki, rwały się i twardniały sylaby. Ale co z tego? — gdy

w takim stanie przychodziły zwykle najsilniejsze momenty naszych wycieczek.

— Ej wy, frajery! — mówił Władek. — A to wy nie wiecie, co ten myślał? Myślał,

że ja was tu przyprowadził, żeby obłuskać. Do moti chciał ze mną — podzielić

się.

Siedzący najbliżej nas Józek dosłyszał ostatnich słów...

Obraził go ten brak solidarności... "Jako? takim frajerom odkrywać jego

zamiary?... "

Przysunął się do ucha Władka i rzekł półgłosem:

— Pies z twoją motią tańcował, telegrafisto! Władek podskoczył.

— Co? telegrafista? powtórz!

— A telegrafista...

Było to najobelżywsze słowo. Telegrafista znaczy to samo, co szpieg, szpicel.

I znowu stanęły przeciwko sobie dwie najcięższe urazy, dwie groźby... na śmierć

i życie.

Nożowcy patrzeli na siebie z zimną zawziętością, ale z pod tego chłodu

szczyrzyły się nieprzejednane, ostre pazury zacieklej zemsty.

— No, to zapamiętaj! — odsylabizował Władek.

— Dobra... Zapamiętam... — odparł tamten.

— Popamiętasz — dodał jeszcze.

— Abo ty...

W ten sposób padły słowa fatalnego wyzwania. U Kłobucha bójką nie mogła mieć miejsca. Tego wzbraniała solidarność gromady... Władek zapłacił pośpiesznie rachunek.

Wyszliśmy.

— Rozprawa nożowa — szepnął mi Janusz.

— Wiem — odparłem.

Poczułem jednocześnie, że to "wiem" łyży mi z oczu wyciska. Tu ludzie stoją w imię jakichś zasad z nożami w rękę, a ja tylko "wiem". I nic więcej... I nawet

nie mogę więcej... "Wiem" tylko i... "wiem"... a później pójde na śniadanie.

— A wy lepiej do domu sobie idźcie — rzekł do nas Władek na ulicy.

— A ty zostaniesz sam? — spytałem.

— Poczekam na nich.

— To i my poczekamy — rzekł Janusz.

— A jak mnie uprzątną, to i was może położą — odparł.

— Nic... zostaniemy... Razem, to razem. Byliśmy pijani, że nogi plątały się pod nami. Zdawaliśmy sobie sprawę z położenia, ale jakoś ociążale...

"Zatłuką, to zatłuką".

— Ej wy! frajerskie łby — rzekł Władek z jakimś strasznym liryzmem.

Coś mu w oczach zamigotało. Odwrócił się od nas. Zdało się, że coś się pogięło w nim nagle. Stał w milczeniu.

Znowu się zwrócił.

— A majchrem choć umiecie robić?

— Ja... nie — odparł Janusz.

— I ty nie?

— I ja nie....

Nagle wyciągnął nóż, zbliżył się do mnie.

— Masz! widzisz, jak cię zaczepi, nie pytaj nic. Nie czekaj, a dźgaj pierwszy...

Ot tak... no schowaj. A pod żeberka.

— A ty — tu zwrócił się do Janusza, podając mu rewolwer — masz; strzelałeś kiedy?

— Strzelałem.

— To dobra... Tylko rznij, a nie daj się opamiętać. Raz za razem.

Znowu odwrócił się. Może go już niecierpliwość zbierała.

Naraz otworzyła się brama. Gromada wysypała. Nożownicy coś przekładali Józkowi.

— Nie, nie, nie! — powtarzał niecierpliwie. Zbliżyło się paru i do Władka.

Wszyscy chcieli zażegnać burzę.

Ale zbrodnię czuć już było w powietrzu. Powiew rozprawy nożowej wisiał nad nami

jak zmora.

Wiedziałem, że nastąpi coś niebywałego.

Wobec tej pewności stałem jednak niezwykle apatyczny... Po prostu myśleć mi się

nie chciało...

Nie bałem się, nie drżałem, ale nie miałem siły reagować.

— Zatluką Władka, zatluką Janusza, zatluką mnie...

I cóż więcej stać się może? A no chyba już nic... To "nic" pocieszyło mnie.

Nagle — stało się.

Józek postąpił parę kroków ku Władkowi. Ten odsunął zlekka ręką stojących przy

nim towarzyszków, sięgnął po nóż.

— Cóż? telegrafista? — spytał.

— A tak — telegrafista.

— Tak?...

— A tak...

W powietrzu zabłysły dwa noże.

Naraz poczułem, że nogi latają podemną, a z oczu coś ciepłego płynie.  
Nie mogłem zorientować się, co się dzieje?  
Nastąpiła jakaś przerażająca potęgą chwila.  
Zdawało mi się, że promienna postać Chrystusa spływa, ażeby  
błogosławić jęczące  
i pokrzywdzone.  
"Błogosławieni są cierpiący krzywdy, albowiem ich jest Królestwo  
niebieskie".  
Janusz stał między dwoma zapaśnikami i trzymał ich za ręce. Błady  
był, ale  
natchnienie czoło mu otęczało.  
— Rzućcie to. Błagam was, dobrzy ludzie! Na co wam krew? Hycel  
jestem. Wszyscy  
jesteśmy hycle. I ty... i ty... i ja... Wszyscy... A to mało nas jeszcze  
życie  
po mordzie pierze, żeby się samym zabijać? O co wam poszło? O nas?  
My gorsze  
jeszcze bydło, niż wy... No rzuć, no rzuć!... Przyjaciele!... Ot  
widzicie...  
hycel jestem.  
Przechylił się nad Józkiem, otoczył jego szyję ra-

mieniem i pocałował go w mordę... w tę cyniczną, opuchłą, pijacką  
mordę...  
Józek oderwał się od jego twarzy... Zaklął...  
Stał w jakimś niemym osłupieniu. Żyły ściągały się i kuliły na jego  
czole...  
Zatrząsał się, zakolysał i nóż ze wściekłością rzucił na ziemię.  
— A ty szczeniaku, grandziarz jesteś, czy jaka cholera?...  
I z ust jego popłynęła cała fala niewstrzymanych, zdobytych w  
upokorzeniu i  
krzywdzie klątw.  
Chciał wyrazić przyjaźń i życzliwość, hołd i uwielbienie, wypieścić,  
wycalować  
słowami jak dziwną zjawę, o której śnił może tam... nad brzegami  
Wisły, lecz

ubogi słownik jego nic nie umiał podać ustom, prócz brudnych, w  
zgniliźnie

wykołysanych obelg.

I tylko ton obelg wyrażał wszystko, co się tam urodziło w  
podwodnych nurtach

zbojeckiej duszy.

Granda rozchodziła się w milczeniu i znikwała na zakrętach ulicy.

Władek siadł na schodkach jakiejś kamienicy i ocierał pot z czoła.

Józek zbliżył się doń w milczeniu i podał mu rękę...

Uścisnęli się...

Czułem się już wyczerpany do ostatka.

— Idźmy do domu — rzekłem. Władek podniósł się.

— Idziem...

— A ty chodź ze mną, dobra? — mówił Józek do Janusza.

— Dobrze... Żegnaliśmy się... Spojrzałem jeszcze raz na Józka i  
cofnąłem się.

Były to te same, szeroko rozwarte, naiwne oczy poczciwca.

Zbudziła się we mnie dawna zapleśniała kronika.

Gwałciciel biednego dziecka opierał się teraz o ramię Janusza i  
prowadził go do

jakiegoś szyneczku.

## ZBRODNIA.

Kochał Sztukę i wyklętego oczyma zaglądał w jej demoniczne moce.

Słuchał, jak

rodzą się i obalają światy, i sam je budować zapragnął. Wyciągał  
utęsknione

dłonie do twórczości, ale nie umiał być twórcą.

Zrywała się w nim często głucha rozpacz i rozpalały się pożary buntu.

Powstawał

wtedy przeciw własnej naturze i chciał się wydać bogiem. Wszystko  
mu jedno było:

dobrym, czy złym — byle uchodzić za boga — byle stanąć ponad ludzkie.

Wszedł raz do mego mieszkania cicho, jak myśl. Był zmieszany. Oczy niespokojnie

biegały po pokoju, jakby czegoś szukając.

Zastanowił mnie.

Podchodził do mnie na palcach i, nie witając, spytał szeptem:

— Niema tu nikogo?

— Widzisz przecie — odparłem.

— Cyt!....

Ustami i dłonią błagał mnie o milczenie.

Zdziwienie moje rosło.

Rozejrzawszy się jeszcze kilka razy po pokoju, postąpił znowu na palcach ku

drzwiom i zamknął je na klucz.

— Co się stało? — spytałem.

— Na litość Boską! cicho!... — szeptał trwożnie. Błady był i nie mógł opanować

drżenia, które wykręcało mu twarz.

— Spocznij — rzekłem.

Lecz on przycupnął z nieopisanym lękiem na podłodze i wskazując palcem na

otwarte okno szeptał:

— Zamknij, bo usłyszą, zobaczą. Wykonałem jego prośbę.

Usiadł ciężko na kanapie i głowę rękami ściskając, powtarzał:

— Ogień, ogień, ogień!

Usiadłem naprzeciw niego na krześle, ręce oparłem na stole i wczytałem się w

jego oczy. Były popielate prawie od wzruszenia.

— Co ci jest? — spytałem.

Drgnął jakby pod ukłuciem. Rękę wyciągnął do mojej dłoni i, cisnąc ją do bólu,

mówił tajemniczym rozglądającym się w moich oczach szeptem:

— Popelnilem zbrodnię.

Pod skórą głowy uczułem zimno. Męczące, trwogi pełne pytanie stanęło w mych oczach.

— Zabiłem ojczyma — wyszeptał znowu.

Z twarzy jego wywinęło się w chwili tego odkrycia piętno zbrodni. Czuło się ją

bardzo blisko. Popełnił ją niedawno, przed godziną może.

— Za co! — spytałem głucho.

Zatrząsał się... Twarz mu zmaciła ostra zawziętość.

— Nic nie wiesz? Bił, katował, gdym był dzieckiem, wypędzał z domu.

— A teraz?

— Wydarł mi złudzenie świętości mojej matki. Jestem synem mego ojczyma. Mój ojczym jest moim ojcem.

— Straszne!

— Przychodzę właśnie byś mi pomógł. Uciec, uciec. Australja, Afryka...  
gdziekolwiek.

— I kiedyś go zabił? — spytałem.

— Wczoraj...

Powstała naraz we mnie błyskawiczna idea. Jednocześnie ochłonąłem ze wzruszenia.

Zacząłem spokojnie myśleć.

— Zastrzelełeś? — pytałem.

— Nie! I to najwstrętniejsze. Odpiłowałem mu głowę. Ot tak...  
powolutku, z  
premedytacjami.

Ręką naśladował ruchy tego "piłowania", i zdało się, że mu to rozkosz sprawia.

Podparłem głowę na dłoni i okiem obserwatora śledziłem jego ruchy.

Od czasu do

czasu rzucałem tylko krótkie pytania.

— I czym? Nożem?

— Nie, tasakiem kuchennym. Był trochę tępy.



— Ostrzyłeś?

— Nie! poco? Nie przyszło mi to nawet do głowy. Przygniotłem mu piersi kolanami i rznąłem.

— A rękami nie bronił się?

Z początku. Chwyciłem w tej chwili prześcieradło i skrępowiałem mu je. Zdaje się, że nawet wyła-

małem jedną rękę. Słyszałem najwyraźniej jakieś pęknięcie, do trzasku

rozpalonych drzew podobne... Pewnie łokieć.

— A nie krzyczał?

— Och! nie miał czasu. Zwinąłem w kłębek jakąś starą koszulę i wpakowałem mu ją w pysk, aż po samo gardło. Ślepia mu tylko na wierzch wyskoczyły. Była w nich ta sama nienawiść, którą mnie karmił całe życie.

— Zdaje się, że ta zbrodnia na Nowym Świecie także była tasakiem popełniona?

Wylękle oczy jego zatrzymały się na mojej twarzy. Wykrzywił się.

— Uch, jakiś ty zimny, zaschnięty — mówił z wyrzutem.

— I cóż zrobiłeś z uciętą głową? — spytałem spokojnie.

Zaczął się śmiać nerwowo.

— Co? haha... widzisz, tu cała podłoga. Owinąłem ją w chustkę i zakopałem w piwnicy.

— A policja nie wie jeszcze?

— Muszą wiedzieć. Szukają. Tylko łba nie znajdują. Łeb na pamiątkę dla szczurów.

Przysypałem go zresztą piaseczkiem, by nie mrugał oczkami.

— A wiesz, że ta zbrodnia na Nowym Świecie zupełnie w ten sam sposób była popełniona.

Zadrzał.

Spojrzał na mnie wyzywająco i cofnął oczy. Głowę znowu rękami oplótł i zaczął biegać po pokoju.

— O, to straszne! to okrutne! to piekielne! Stał przedemną i z jakimś dziwnym przerażeniem jęknął:

— Słuchaj! przecie ty nie wierzysz.

Patrzyłem nań ze współczuciem, ale nic nie odparłem.

Był tak blady, jak papier, a bladość jego jeszcze bladła i jeszcze bieląła.

Pięściami w czoło się uderzał. Znowu biegał po pokoju.

— Nie wierzy! Wszystko przecie zmyślane. Zełgane głupio i niedołąźnie. Nie było

morderstwa. Nic nie było. Nie umiałbym, nie dokonałbym.

Naraz upadł na kanapę i, chowając głowę, zaszlochał jak skrzywdzone dziecko.

— Nic, nic!... Do niczego nie jestem zdolny. Nawet do podłości.

Ramiona jego podnosiły się i opadały, jak u człowieka, który stanął na rozdrożu

między życiem a śmiercią.

Beznadziejne szlochanie jego wydawało się już jednak bliższym tych granic, za

którymi stoi głucha, milcząca zagłada. Czuło się, że jeżeli teraz nie obudzi się

w nim twórca, to musi umrzeć na całą wieczność.

Był to najlepszy towarzysz, najzdolniejszy do poświęceń przyjaciel.

Siadłem przy nim i, sam czując łzę pod powieką, pocałowałem go w czoło.

I popełniłem największą zbrodnię, bowiem pocałunek mój dobijał w nim resztki twórcy.

\* \* \*

Lecz ty nie całuj, o publiczności! Nie zabijaj i nie całuj, bo zaiste! ani twój pocałunek uśmiechu, ani uśmiech pocałunku nie zabije.

TŁO I OBRAZ.

TŁO.

Popełniałem najwyszukańsze nonsensy. Nazywa się to "komizmem", albo inaczej:

"świństwem" — co kto woli. Przeważnie nazywano mnie "wesołym chłopcem"

(warszawska wyrozumiałość).

"Wesoły chłopiec" śmiał się i hultał... Ludzie pasjami śmiech lubią...

Przez

długi czas było mi z tym bardzo do twarzy....

Szanowano we mnie zuchwalstwo i wesoły cynizm.

Gospodarz mój, bardzo energiczny kutwa, nie lubił wszelkich niewypłacalności...

Zdarzyło się, że nastąpił raz bez należytej wyrozumiałości na moją skromność w

regulowaniu rachunku. Wysypałem mu w odpowiedzi bardzo niedwuznaczne kazanko o

chciwości burżuazyjnej...

Złagodniał niebawem...

— Dobrze, ale chyba przecie pan rozumie, że trzeba płacić za mieszkanie...

— Nie, panie — odparłem spokojnie — zupełnie tego nie rozumiem...

Za co?...

— Jednak musiał pan zwykle płacić...

— Nigdy... jak mnie pan żywego widzisz... Kutwa znieruchomiał...

Stróż, który cenił mnie za hojność, rozniósł sławę mego imienia po  
wszystkich  
oficynach. "Wesoły chłopiec" stał się w kamienicy pieszczochem  
wszystkich  
duszonych gorsetami aspiracji.  
Korzystałem z wyjątkowych praw i szalałem...  
Szczególną sympatją moich sąsiadów cieszyły się wyprawiane  
przezemnie orgie...  
Przy jaskrawym oświetleniu i otwartych oknach nieopłaconego  
mieszkania, snuły  
się nagie, lub napół ubrane niewieście postacie... Towarzysze moich  
zabaw,  
nienawidzący wszelkiego purytanizmu, za szaty mieli jedynie  
przepaski na  
biodrach.  
Gromkie, dźwięczne śmiechy towarzyszyły bezecnym kupletom.  
Miałem nieraz wrażenie, że rój histerycznych faunów splótł się w tan  
z  
obląkanemi nimfami, aby do szczytu zwarzjować w Warszawie...  
Z za firanek sąsiednich oficyn wychylały się wtedy łakome oczy  
pożądliwych  
dziewic... Śledziły nasze szaleństwa i skrycie marzyły o zmysłowych  
ekstazach...  
Naraz światła się tłumilo... ciemność... i kto kogo dopadnie... Pisk...  
śmiechy  
gardlane... i cisza po chwili...  
Pewnego dnia, zmęczony nocnymi nadużyciami, postanowiłem na  
własnej osobie  
stwierdzić skutki samego upicia się... Uczyniłem to niezwłocznie...  
Niebawem do towarzystwa dopuściłem jednego dorożkarza i nie tyle  
starą, co  
brzydką praczkę...  
Chodziliśmy od szynku do szynku...  
Znęcona uwaga galerji szczyrzyła już ząbki i trzeszczyła ślepią...  
Niezadługo  
wlokły się za nami całe gro-

mady gapiów... postanowiłem zaspokoić uliczne apetyty i dać z siebie widowisko.

Dzień był ciepły — zdjąłem wierzchnie ubranie, niosąc je w rękach.

Tłumy

rosły...

— Warjat — krzyczano tu i owdzie...

Lecz dorożkarz i praczka, ku wielkiemu memu zduniu, opuścili moje towarzystwo.

Przyprowadziłem do porządku moją toaletę i siadłem na ławce, w Saskim ogrodzie.

Głowa mi obwisała — zasnąłem.

Rozbudził mnie dopiero stójkowy.

— Panie! proszę pana! ogród zamykają.

— Ach tak?... dobrze.

Zmierzałem w kierunku najludniejszej restauracji...

Przed wejściem zdarłem z jakiejś znajomej prostytutki kapelusz,

kładąc jej na

głowę mój cylinder...

Chciała biec za mną, ale ją odźwierny brutalnie odepchnął.

(Prostytutkę wolno każdemu popychać).

Wszedłem w damskim kapeluszu.

Furora była nie do opisanania... Tłumy ryczały z radości...

Duża restauracyjna sala zatrzęsała się od oklasków.

— Brawo! brawo!...

A ja, jak aktor na scenie, świadomy swej wyższości, ukloniłem się z lekka

kapelusikiem prostytutki i, minawszy długie szeregi inteligentnych pijaków,

zająłem miejsce...

— Jak Boga kocham, damski...

— Słowo honoru!...

— Ha ha ha...

— Hi hi hi...

Do stolika mego przysiadł się ten i ów...

Jakaś zakąska... piwo... kilka anegdotek... i pożegnaliśmy się...  
Wyszedłem na ulicę i myślałem, co począć z sobą?  
Była godzina pierwsza w nocy...  
Spać? — zawczasie... Bibka? — niema z kim... Orgja? — za  
późno... Dom  
publiczny? — niewarto...  
Zapaliłem papierosa i przyglądałem się bezmyślnie latarniom...  
Oto macie tło...  
A teraz obraz...

## OBRAZ.

Szła obok stróża nocnego... Wyglądała na pensjonarkę raczej, niż na  
 prostytutkę.

Widziałem kiedyś podobną twarz na wystawie obrazów z podpisem  
"skupienie". Szli

oboje w milczeniu...

Zbliżyłem się...

— A dokądże to prowadzicie? — spytałem.

— Do cyrkułu — odparł.

— Puśćcie ją. Dam wam na piwo...

— To nie moja rzecz. Rewirowy kazał — prowadzę. Dziewczyna  
 spojrzała na mnie

zalotnie i uśmiechnęła się z wdzięcznością...

— I cóż wam z tego przyjdzie? — namawiałem.

— Wiadomo: nic... A jak muszę — to muszę... Wreszcie niech nie  
 chodzi bez

książeczki.

— A! to za to? — spytałem.

— A za to...

Naraz — oryginalny pomysł...

— A cóż to myślicie? — spytałem gniewnie — to każda dama ma  
 mieć książeczkę? Ja

się z tą panią umówiłem, że się spotkamy... to już teraz porządne  
kobiety

aresztujecie?

Wyląkł się...

— Przepraszam pana, ale ja mam przykaz...

— Więc dobrze... zobaczymy... Idźmy!... Weszliśmy do cyrkułu...

Naleciałem ogniście na dyżurnego urzędnika.

— A wie pan, to ciekawe... Nie można wyjść na ulicę... Kto śmiał tę  
panią

aresztować?...

Stropiony urzędnik plątał się w słowach... Jał przeproszać... to nie jego  
wina... Po prostu omyłka... Zresztą któż mógł przewidzieć?

Podąłem prostytutce ramię — wyszliśmy...

Zawiozłem ją do domu...

\* \* \*

Rozgościła się prędko i swobodnie.

W blaskach księżyca kąpaliśmy nasze nagie ciała, a białe jej ramiona  
wydawały

się jeszcze bielszemi.

Zapominałem, że leżę obok prostytutki, — tak nie nasiąkła jeszcze  
cynizmem i

trywjalną brutalnością swego zawodu.

Była szczerą i paplała o wszystkim, co stanowiło podstawę jej życia...

Nazywa się Andzia... Mieszka przy Nowolipiu... Książeczkę ma  
zupełnie w

porządku, ale wolno jej chodzić

najdalej do placu Teatralnego. Dla tego też została zatrzymana przez  
rewirowego

na Nowym Świecie... Ma kochanka, fotografa. Zna nawet swój fach,  
ale mu się

robić nie chce. Zresztą niezły człowiek, tylko pije za dużo. A jak się  
upije, to

zaraz do bicia się bierze... Zresztą — trudna rada: każdy kochanek musi bić... A przecie taka kobieta bez kochanka obejść się nie może... bo któżby ją bronił? Ona musi mu dawać pieniądze, i niechby nie dała, toby jej zęby chyba wytrząsał... Ale za to niech Bóg broni nieszczęścia — szpitala naprzykład, to już jego psie prawo przynieść jej pieniądze. Za dzisiejsze to już ona jemu powinna nakłaść. Zamiast być gdzieś w pobliżu, poszedł pewnie pić... to dobrze, że ja się nadarzyłem... Byliby ją wzięli do komitetu... Nicby jej tam nie zrobili, bo jest zdrowa, ale po co? Zresztą nieprzyjemnie: ten nocleg z najostateczniejszemi łachudrami, później oględziny lekarskie, protokół... We wszystkim wina fotografa... — A wie pan? — mówiła. — Jak pan stróżowi chciał dać na piwo, to myślałam, że pan frajer... Później w cyrkule myślę sobie: O, to oblatany chłop, a jak pan wziął dorożkę, znowu pomyślałam, że frajer... Gdzieby tam oblataniec wiózł kobietę dorożką? Siadła na łóżku i zabierając na okrągłe białe ramiona ostatnie promienie księżycy, uderzała się dłonią w czoło, jakby w ten sposób usiłowała rozplatać tajemniczy węzeł trapiącej ją zagadki. Frajer? czy oblatany?... frajer? czy oblatany?... Będąc zawsze przedmiotem wygody i interesu, nie przypuszczała nawet, aby do intencji mego postępuku

wplątał się jakiś motyw, wychodzący z kategorii codziennych jej wrażeń...



— A wie pan, czego się najwięcej bałam? — mówiła. — Myślałam, że zastanę tu z dziesięciu, i że mi zrobią manifest.

— Cóż to znaczy? — spytałem.

— E, niech pan nie zawraca głowy. Pan by nie wiedział, jak kobietę wezmą, a rozbiorą do naga, a zaczną dotykać, a klepać każdy sobie, a śmiać się, a oglądać. Już mi chyba ze trzy razy manifest zrobili. Wołałabym się pod ziemię zapaść... A pan to niby raz widział? Oj trajlarz, trajlarz!...

— Więc powiedz mi ostatecznie, co teraz myślisz o mnie? Dłońmi zasłoniła oczy, niby wstydząc się swej pomyłki, i mówiła sama do siebie...

— Oj głupia ja, głupia zdziera, głupia zdziera... Biadania jej były tak naiwnie proste, że mimowoli roześmiałem się...

— Cóż ci się stało, Andziu!

— Oj głupia ja, głupia. — Oj głupia zdziera.

— No co?

— A przecie, że pan oblataniec... Skądby tam fraer taki?

— Że też ja się odrazu nie domyśliłam... Oj głupia, głupia...

— Pan pewnie ma tu swoje kobiety na Złotej, albo na Chmielnej... O, pan musi być nie byle jaki alfons... Przeczenia moje nie odnosiły żadnego skutku. Nie wierzyła mi już... Byłem w jej oczach alfonssem...

Przez to jednak Andzia czuła się ze mną ściśle zsolidaryzowaną. Należałem do jej sfery, mogła więc rozmawiać zupełnie swobodnie o rzeczach, znanych nam tylko po wierzchu, jakby przez matowane szkło...

Była nawet niezmiernie zadowolona, że spotkała "kogoś ze swoich"...  
Z taką samą  
radością spotykają się wśród handlujących tłumów dwaj artyści...  
Była niezrównaną gawędziarką i umiała uplastyczniać wszystkie  
subtelności swego  
odrębnego świata.  
Leżałem przy niej w milczeniu i, oparszy się na łokciu, słuchałem jej  
słów, jak  
się słucha zbójnickich opowiadań. Czasami rzucała mi pytania,  
dotyczące jakichś  
nowinek w tym skomplikowanym świecie alfonsów i prostytutek.  
Śmiałem się wtedy z  
niej, jak się zwykły śmiać bezmyślne matki, gdy enfant terrible pyta  
buńczucznie: "a kto, mamusiu, pana Boga stworzył?"  
— Nie wiem, Andziu! — mówiłem.  
— Tak... nie wiem... — przedrzeźniała — już ja teraz poznałam  
pańską naturę...  
Od pana się nic nie dowie... Już jak pan udaje, że Grubego Misiółka  
pan nie zna  
i Stefy Powroźniczki, to już dosyć.  
Niezrażona tym jednak, snuła dalej przedzę swych opowiadań,  
zwierzając w nich  
wszystkie swoje oburzenia i obawy, zmartwienia i nadzieje...  
Rodzice to ją znać nie chcą. Matka jeszczeby tam... Ale ojciec niech  
Bóg  
broni... Raz jak ją złapał na ulicy, to ją tak wyprał laską, że chodzić  
później  
nie mogła. To też teraz jak ojca zobaczy zdaleka, to zaraz w dyrdy,  
żeby tam nie  
wiem z jakim gościem szła... A już co

na Solcu, to od tego czasu jeszcze nie była... Czasami aż ją ciągnie  
tam... Bo  
Solec, to ho — ho jaka ładna ulica. Nieraz żal jej nawet ludzi, którzy  
Solca nie

widzieli. Wychowała się tam przecie... Ojciec, jak zapamiętać, miał tam kilka dorożek... teraz trochę podupadł, no ale zawsze... nie to, co się komu zdaje...

— A wie pan, że ta Lolka, co utopiła się w zeszłym tygodniu, to także z Solca była...

— Tak? z Solca? — mówiłem bezwiednie.

— Oj, u niej to natura była, natura... Chyba się i samego djabła nie bała... Ale

z Solca to wszystkie takie... I wszystkie później, jak ona... to się powiesi, to

utopi, to otruje... Ja też nie inaczej skończę...

— Et, dzieciństwo! takaś młoda jeszcze...

— Młodość młodością, a przecież się już dwa razy trułam. Raz to się z fotografem

pokłóciłam... A drugi raz tak sobie...

— Jakto? — tak sobie?

— A tak... Nie miałam ze trzy dni gościa. Deszcz taki padał ciągle... Pan wie,

jak to w jesieni?... Złapałam tę truciznę i zaczęłam połykać... Ale mieszkałam

wtedy z koleżanką... Narobiła zaraz harmidru... odratowali mnie... Ale może pan

spać chce, a ja panu przeszkadzam...

— Nie, nie przeszkadzasz...

Andzia opowiadała dalej... Czasami ciekawość mnie paliła i miałem na ustach

niecierpliwe pytanie. Chciałem się przejrzyć w najciemniejszych mrokach tego

nieszczęsnego dziecka... Ale obawiałem się, czy zdo-

łam się utrzymać w roli alfonsa?... Może otwartość jej spłoszę...

\* \* \*

Rano przyrządziła mi na maszynce i podała do łóżka kakao.

Chciałem jej zapłacić za noc — odmówiła z oburzeniem.

— Andziu! przecie z tego żyjesz — mówiłem...

— Z tego i nie z tego, bo żyję z frajerów, nie z oblatańców.

— Tak, widzisz, ale ja właśnie jestem frajerem.

— No, no... dość mi pan już natrajlował całą noc...

Pieniądze odsunęła... Zabierała się do wyjścia... Prosiłem, żeby mnie odwiedziła

kiedy.

— A cóż to? Kobiet panu brak? — zapytała. Tłumaczyłem jej, że mi się bardzo

podobała, że

będę tęsknił niemal za nią, że dała mi chwilę wielkiego upojenia i t. d.

—

Przyrzekła, że przyjdzie.

\* \* \*

Nie czekałem długo... przyszła w dwa dni... Oczy miała opuchłe od płaczu... Na

twarzy czarny siniak...

— Jak się masz? Co ci się stało?...

— Nic... — odparła — wybił mnie.

Siadła na krześle i patrzyła na mnie badawczo, jakby chciała wyuczyć się mojej

twarzy...

— Czemu tak, Andziu, przypatrujesz się mi?...

— Nic... myślę, że pan musi być dobry człowiek.

— A gute Mensch — dodała i zaczęła się śmiać...

— Cóż to znaczy?

— E, nic... mieszkałam ze dwa miesiące z jedną żydówką. To ona tak znała ludzi,

że odrazu każdego przejrzała... Jak przyszedł gość, to odrazu mówiła gut, albo

schlecht A raz tylko powiedziała: a gute Mensch... to ja teraz widzę,  
że on był

zupełnie podobny do pana.

Wziąłem ją lekko za rękę i pytałem:

— Powiedz, Andziu, za co on cię wybił?

— Za co? — mówiła niedbale — Jakto kochanek... Po co ma mieć  
zaraz za co?...

wybije i już... A pan to niby swoich nie bije?

— Nie, Andziu, nikogo nie biję. Utkwiła we mnie zdziwione  
spojrzenie...

— I naprawdę nie?...,

— Naprawdę: nigdy nie biję...

— A wie pan co? — mówiła. — Chciałby mnie pan wziąć do  
siebie?...

Uczułem jakąś głuchą litość.

— Wziąć?... jak to rozumiesz?

— A no tak... Będę już nie jego, tylko pańska... Przecie jak pan jest  
alfonsem....

Położyłem rękę na jej ramieniu i mówiłem:

— Omyliłaś się... Nie jestem alfonsem... Błade przerażenie pobielilo  
jej

dziecinna twarz. Robiła wrażenie człowieka, pod którym pękają

skały i groźne wnętrze przepaści wychyla swą czarną paszczę.

Niewierzyć pragnie jeszcze potwornej prawdzie, a jednak czuje już ją  
całą w

sobie.

Oczy Andzi chodziły po mojej twarzy, jak przerażone kroki  
zawiedzonego

kochanka. Szuka jeszcze snu swego, wizji precudnej, a wie, że już  
przeszło

wszystko bezpowrotnie.

— I naprawdę pan frajer? — krzyknęła rozpaczliwie...

— Andziu! tym lepiej przecie...

— Tak?... no... ja nigdy panu tego nie daruję... Zerwała się i wybiegła  
z

pokoju.

Pobiegłem za nią na korytarz, ale już tylko słychać było jej pośpieszne kroki po schodach...

\* \* \*

Tego dnia, w mieszkaniu nieopłaconym, odbyła się jedna z najhuczniejszych orgji...

"Bydło", tak bowiem nazywali się poufnie moi towarzysze, śmiało się do rozpuku.

Andzia była przedmiotem najcyniczniejszych dowcipów.

Ułożono nawet na jej cześć kilka bezwstydných kupletów.

Figurowałem w nich bądź jako alfons, bądź jako mekler.

Bawiłem się "bez zarzutu"...

I wiele czasu minęło, nim Andzia przyszła do mnie

znowu, ale już w postaci szarpiącego nerwy koszmaru.

Twarz jej żółta była i pomarszczona, oczy wyschnięte, jak kałuża podczas spieki...

Kulała na jedną nogę, a podpierając się kijkiem, wyglądała, jak na obrazku

czarownica, któremi straszą małe dzieci...

— Hihih... hihih... — trzęsła się od śmiechu. — Zaledwie kilka lat przeszło, a

już ciało mi przegniło... Pamiętasz, jakeśmy spali razem?... Jakiś ty głupi był

wtedy... Ojej alfons! Może mnie weźmiesz na łóżko? Zamknę cię spróchniałymi

ramionami w uścisk, jak perełkę... Ale bo też i twoja perlistość się już starła... A takiś był świeży... hihih... Nie lękaj się mnie robaczku! z jednego

śmiecia jesteśmy... Tylko ty — tchórz, serdeńko... Patrz! ja otruć się zawsze

mogę, bom z Solca i w diabła wierzę... A ty — co? Nie otrujesz się —  
nie, bo w  
nic nie wierzysz... Powiedz mi, dla czego wy tam w nic nie wierzycie?  
Poty miałem na czole, jęk w uszach...  
— Coś ty za jedna?  
— Hihihhi... już nie poznał... Kilka lat, a nie poznał... Oni tak  
wszyscy nie  
poznają... A przecie spali ze mną... Ilu ich się tam przewinęło...  
Siadła przy mnie i rękę kładąc na moim czole, mówiła:  
— Tyś dobry człowiek... prawda? a gute Mensch... co? hahaha... weź  
mnie do  
łóżka, bo mnie namiętność pali... Ojciec mi wczoraj nogę przetrącił i  
stłukł  
mnie

fotograf, alem jeszcze krwi pełna... Wysącz, wysącz do reszty...  
W suchych oczach zamigotały iskry, a po twarzy przesuwwały się  
wstrętne płomienie  
nietajonej chuci...  
— Hej, mój alfonsku, jakiś ty miły... trochę tylko ta wiosna z ciebie  
obleciała... Ot, wsznurowały ci się w czoło zmarszczunie... Hihihhi...  
pewnie ci  
życie kapeńkę skóry nagarbowowało...  
Przytuliła się do moich policzków twarzą swoją, a z ust jej padał na  
mnie  
ciężki, niemiły zapach szynkowni...  
— Mnie bo jak bardzo ssie w sercu, to wódkę tylko piję.  
— Żebyś ty wiedział, jaka to dobra kumoszka. Możesz z nią cały  
świat obejść, a  
szturchańca na karku nie poczujesz... Jak się nażłopiesz, zaraz się taka  
błogość  
rozchodzi, że choćby ludzi do serca przyciskać... Hihihhi... alfons!  
czemu ty się  
odemnie odwracasz?  
Oderwała ode mnie twarz i szlochać zaczęła... Na ręce, na twarz, na  
piersi

spadały mi jej łzy i stygły, jak umarłe ciała.  
A kiedy myśli rozjęczały się we mnie i spłynęły na niej w oczach  
litością, ona  
przysunęła do mnie znowu swoją twarz i oplatając mi szyję  
ramieniem, całowała  
mnie w same usta...  
— Raz jeden, jedyny jeszcze — szeptała. — O jaka ja jeszcze  
gorąca... Uduś mnie,  
uduś oblatańcze!  
Pocałunki jej grzęzły w moich ustach, zsuwały się z nich, chodziły po  
całym  
ciele.

Szarpnąłem się, rozprężyłem, zacisnąłem pięście i zacząłem się  
odpędzać od  
niej...  
— Idź, idź, idź!  
Pięście moje zawadzały o jej mordę, ślepie... Ale ona pyskami  
rozbitymi wtulała  
się we mnie coraz głębiej, namiętniej, natarczywiej...  
— Uduś mnie, uduś, oblatańcze!... Trząśłem się cały...

DYZIO.

Zmuszony byłem mieszkać w jednym pokoju z idjotą.  
Mus ten sam sobie stworzyłem, tak jak ludzie sami stwarzają sobie  
bogi i  
kajdany.  
Idjota był krewnym moich znajomych. Dyzio — nazywał się.  
— Panie Dyziu! ile pan masz lat?  
— Ośmnaście — odpowiadał bez namysłu.



To "ośmnaście" trwało już od trzech lat. A zresztą może nawet i nie miał więcej.

Czas, przewalając się nad nim, nie pozostawiał na twarzy jego ani jednego napisu. Natura, stawiając go na litość i pośmiewisko ludzi, wyryła w nim odrazu

jakieś nieczytelne hieroglify, i tak już pozostało nazawsze. Lekarze kiwali nad

nim głowami, a bojąc się przyznać do swej niemocy, mówili:

"nieuleczalne" ...

W domu krewnych swoich, Dyzio był "karą Bożą", która, stosownie do usposobień

chwilowych i kaprysów, przeskakiwała w kłowna z dzwoneczkami, lub w ciężkie,

mozolne jarzmo.

"I karm, żyw ten pasorzytny żołądek".

— Dyziu! jak się zapatrujesz na emancypację kobiet?

— Ja?... ehem-hem — nijak... A zresztą daj mi cukierka, to ci powiem.

Dyzio zjadał cukierek, ale o emancypacji kobiet nic mówić nie chciał.

Nie umiał

może... Śmiali się wszyscy z niego, a on ze wszystkich. Zwyczajnie: idjota.

Nie wiem, dla czego ogromnie go kobiety lubiły.

— Panie Dyziu! pocałuj mnie pan w uszko.

— A w które?

— W to prawe...

Dyzio śmiał się i całował w "prawe uszko"...

— A teraz w lewe.

Dyzio śmiał się i całował w "lewe uszko"...

Spotkałem go raz w Saskim ogrodzie.

Siedział pod smutnie rozszumionym drzewem i, głowę wsparty na poręczu ławki,

szłochał... Śmiertelnie żółte liście rzucały mu się ze szklanym szelestem na

głowę, osypując go złotą girlandą i zwierając rozpacz konania jemu...  
idjocie.

A on, przywalony umieraniem jęków, zdał się płakać nad wszystkim,  
co się w  
strasznej agonji śmierci pręży i niemieje. Po twarzy, po ramionach  
zsuwały mu  
się te złote trupy i wyglądał, jak bolesny pomnik jesieni, postawiony  
w mrącym  
ogrodzie rękami czarnych aniołów.

— Panie Dyziu! płaczesz pan?

Idjotycznie uśmiechnięte oczy zaskowyczały jakimś psim łaszeniem  
się, nie  
otwierając jednak przede mną swoich wewnętrznych nurtów. Trwoga się  
w nich czaiła,  
czyli radość — któż odgadnie? Dyzio śmiał się do mnie kłątwą zimnie  
bezwzględnej  
natury i ocierał tey.

— Tak, płaczę — Dyzio płacze, bo go Bolek wybił. Wetknąłem mu  
papierosa w usta.

— I za cóż, panie Dyziu? Parsknął śmiechem fryzjera.

— To się panu dziwnym wyda... Ja sam się dziwię... A przecie  
wybił... Nic mu nie  
zawiniłem... Klęczałem właśnie przed Manią i całowałem jej kolana...  
On wbiegł i  
zaczął bić...

— Kogo? ją? Pytanie ubawiło go.

— Gdzietam! mnie... mnie...

I zawijając rękawy, zaczął mi pokazywać siniaki na rękach.

— Niedobry... prawda? — skarżył się jak małe dziecko.

Ogarnąłem go litością. Jednak, jakby naprzekór samemu sobie,  
udrapowałem się w

wyszarżany płaszcz etyki z Krakowskiego Przedmieścia i mówiłem:

— No, nie, panie Dyziu! Bój się pan Boga... Przecie to pański brat  
cioteczny,

tak? Widzisz pan... A ona żona jego... Więc jakże? co? Pocóż całować?

Spojrzał na mnie niezwykle mądrze.

— Tak pan sądzi?

— No co? tak? tak? — powtarzał przebiegle. Zmieszałem się...

Jednocześnie zły

byłem, że ten

wzrok idjoty zdobył się na szpiegowanie mnie.

— No, niech pan powie — mówił — co pan myśli teraz? Ale nie kłamać...

— Dobrze... powiem... Myślę, że w panu jest coś... coś, co zastanawia...

Zasmucił się...

— Tak... teraz pan nie skłamał...

Za chwilę jednak, jakby zmęczony wysiłkiem myśli, zaczął się śmiać.

— Czego się pan śmiejesz? — spytałem.

— Et, nic.

I znowu oczy jego osnuły się bezmyślnym śmiechem... Śmiech ten nie zsuwał się z

twarzy, lecz jakby w nią wryty — stał na wieczne świadectwo kretynizmu.

— Do widzenia panu — rzekłem.

Podniósł się raptownie i poprzez swój ciągły głupi śmiech mówił lękliwie:

— Pan idzie? A Dyzio? Dyzio do nich już nie pójdzie. — Biją...

Znowu wybije...

Znowu...

Wziąłem go pod ramię i w milczeniu zaprowadziłem do swego mieszkania... "Siedź,

idjoto! w piłeczkę się baw... strugaj patyczki... "

Dyzio pozostał w moim pokoju.

\* \* \*

Trzy tygodnie tej męczarni było...

A zdradzała mnie wtedy kochanka...  
Zbierałem jeszcze od niej uściski i nosiłem jej pieśczoć, ale stał już między  
nami cień i odtrącał ją ode mnie... Zimne wszystko było, wymuszone.  
Zdrada chodziła już koło nas i przepaść kopała. Widmo rywala  
szczęśliwego  
zbliżało się coraz wyraźniej. Szedł ku niej z całym zapalem  
młodzieńczości. Jak  
ja kiedyś...

Cały świat nowych pieśczoć dla niej... Nowy świat, nowe życie,  
ekstazy... A dla  
mnie — śmierć.  
— Ulituj się!  
— Nie mogę...  
Tak rozmawialiśmy oczami.  
Nie mieliśmy jeszcze odwagi powiedzieć sobie ostatniego "bądź  
zdrow"! i "bądź  
zdrowa"! A przepaść coraz głębsza się stawała...  
Czasami spłoszony upiorem rozłąki, głowę ścisnąłem oburącz i  
biegając po pokoju,  
wołałem:  
— Ratuj, ratuj, Lena! Spłonę, wyschnę bez ciebie. Człowieka  
pożałuj... I nie  
patrz tak poza mnie, bo tam poza mną, on spojrzenia twoje mi  
kradnie.  
Lecz ona rozcinała, jak nożem, wybuchy zazdrosnego szału:  
— Męczysz mnie... Znużona jestem... Świat się zataczał przede mną w  
kółko, i  
uciekałem od niej... Ciszy pragnąłem, spokoju... Rozpalona głowa  
snuła  
gorączkowe pomysły... Rwać, szarpać samego siebie... To było moim  
pragnieniem.  
Cienie moje!... rany moje!... krew moja!...  
Struć pogardą — niewierną.

— Ot widzisz: tematem mi tylko byłaś... Nic więcej... — Zapraǳiałem zakuć w słowa tę posokę, co z serca sączyła... Niech tylko żaden człowiek nie zagląda mi w to piekło "stawań się", w tę tranzakcję uczuć na sztukę. Biegłem... I w pokoju mym zastawałem Dyzia... W piłęczkę się bawił, patyczki strugał.

Brał mnie widocznie za jakiegoś krewniaka, gdyż "ty" mówił mi stale.  
— Hahaha, jakiś ty dzisiaj śmieszny — mówił.  
— Śmieszny jestem? naprawdę? No połóż się, Dyziu, na kanapkę i zaśnij.  
Dyzio kładł się i śmiał się bardziej jeszcze...  
— i wiecznie, wiecznie czuć ten potępieńczy Wstyd, że się skrzydła w błocie wytarzało.  
— Jakiś ty dzisiaj śmieszny — śmiał się z kanapy Dyzio.  
Ubierałem się szybko w palto i uciekałem na ulicę....

\* \* \*

— Dyziu! nie śmieć się dzisiaj, bo mi smutno, bardzo smutno.  
Stanął przede mną i mówił szeptem:  
— A cukierka mi dasz?  
— Dobrze... masz... jedz!  
— Ojej!... tyle cukierków... I takie dobre... Ogromnie lubię takie cukierki...  
Dużo to kosztuje?  
— Niewiele, Dyziu... Gniewu trochę i litości... Sam nie wiem, czego więcej?  
— Hahaha... Ja ogromnie lubię ciebie słuchać. Tyś taki komiczny...  
Wiesz? ten aktor z Rozmaitości zupełnie do ciebie podobny.  
— Wiem, wiem... Aktor, Dyziu, do wszystkich podobny.  
— Do wszystkich ? Hahaha. — No i powiedz, jakże się nie śmiać?  
Tyś taki komiczny... no, taki komiczny...

— Połóż się, Dyziu, i zaśnij... W nocy rozbudzę

cię i opowiem ci coś tak komicznego, że na całe życie śmiać się przestaniesz...

— Hahaha... hahaha... naprawdę? No wiesz, tyś do cyrku powinien.

— Mam ja swój cyrk w duszy.

— Masz? pokaż mi...

— Nie mogę, Dyziu, bo tam jest tygrys w klatce. Zaraz by ci wszystkie cukierki zjadł.

— O! jabym mu nie oddał... A baletnice także masz?

— Mam, idjoto! Co jedna nogę zadrze, to druga jeszcze wyżej zadziera.

— Dla czego ty mnie nazywasz idjotą? Zaraz mi się przypominają te czasy ze

szkoły... Czytać nas uczyli... Nie mogłem nigdy zrozumieć, poco to? A koledzy

krzyczeli: "idjota! lufa! — idjota! lufa!" Może ty mnie i lufą jeszcze nazwiesz?

— Nie, Dyziu, nie nazwę cię lufą, bo czytać nie umiesz.

— A gdybym umiał, to co?

— Nic... Nauczyłbyś się świat czytać... Siebie możebyś odczytał... I nie

śmiałybyś się...

— Tak? no to ci się przyznam, że umiem czytać. Nawet lubię czytać. Byle coś

wesołego. Ot! jak naprzykład ty piszesz... Napiszesz i rzucisz na ziemię... A ja

później zbieram i śmieję się... Ty tak pewnie umyślnie dla mnie?

— Bredzisz, Dyziu!

— Nie wierzysz? pokażę ci.

Otworzył stolik. Szuflada cała zapełniona była po-

miętami rękopisami... Początki same... Wykrzykniki... Słowa  
urywane... Ledwie  
się błyskawica myśli zrodziła, już padała zmiażdżona, jak obuchem,  
śmiechem  
idjoty. Była w tych rękopisach cała historia moich trzech tygodni. Pół  
libry  
zmiętego papieru — "coś wesołego" — tyle tylko.  
Dyzio, trzymając w ręku świstek, czytał:  
— I wiecznie, wiecznie czuć ten potępieńczy  
Wstyd, że się skrzydła w błocie wytarzało.  
Wydarłem mu z rąk papier i zacząłem drzeć w drobne kawałki.  
Później do szuflady  
— i dalej! inne... w małe listeczki, w motylki... Poruszyło się z  
ziemi to  
martwe ptactwo papierowego owadu i otoczyło mnie, okręciło...  
Dyzio siedział na kanapie i śmiał się, wywijając nogami, tarzał niemal w  
śmiechu...  
Skoczyłem, odebrałem mu cukierki i wyrzuciłem za okno. Płakać  
zaczął głośno.  
Wyszedłem...  
Takie były nasze rozmowy.  
A widmo rozstania z Leną skuwało mnie mocniej,  
coraz mocniej.

\* \* \*

Zrodził się we mnie zabobonny strach przed Dyziem — "to on  
przywłócił  
nieszczęście w mój dom"... Lękami atawistycznych przesądów  
zaglądałem w  
uśmiechnięte oczy idjoty i dygotałem wewnątrz.  
"To ty!... siła fatalna"...  
Wstawały mi wszystkie wiedźmy wszystkich w dzie-

ciństwie zasłyszanych bajek, djablice i upiory, psy śpiewające i o  
północy

chichocące drzewa... Szczekały, wyły, na kęsy mnie szarpały.  
Pękały o zmrokach brudne wrota piekieł, a sam czart wypuszczał  
przez nie udreki  
i chichoty. Na mnie szło, wszystko na mnie... "Szarpcie go" ...  
Dyzio szedł za pan brat z niemi i, uśmiechając się idjotycznymi  
oczami,  
wskazywał im drogę... "Tam, tam... do niego... Drugie piętro" ...  
Rozsypywał je  
po podłodze, pod poduszkę układał... "Otoczcie go, okręćcie go, od  
Leny  
odgroźcie".  
To wszystko czynił on, Dyzio... nieszczęście litosną ręką pod dach  
sprowadzone... Klątwa natury... idjota...  
Znienawidziłem go.  
A precz odpędzić mocy nie miałem.  
Czasami wżerałem się nienawistnymi oczyma w jego bezbrzeżnie tępe  
uśmiechy i  
czułem, że coś kurczy się we mnie — płakałem w sobie...  
— Polip na ramionach litości wyrosły — formułowałem ironicznie.

\* \* \*

Nastał on dzień, nastał.....Jużeś mi niepotrzebny  
koteczku... Inny zajął twe miejsce... "  
Nastał...  
Bez scen, bez melodramatów... pocichutku...  
Widziałem jak stali w oknie oboje... Różowe światło jej saloniku  
owijało ich  
twarze... Patrzeli w siebie, nie patrząc — samą ciał melodją —  
tchnieniem  
samym... Jak my wtedy...

Wbiegłem szybko na schody.... Dzwonię... "Pani nie przyjmuje".  
Krew mi wali do głowy...  
— Wiem, wiem... to nic... Powiedz pani, że pilny interes...



Drzwi się zamykają... Czekam na korytarzu... Chwila i jeszcze chwila... i tak

długo... Głucha, milcząca cisza korytarzy... Czekam...

Dzwonek... drzwi...

— Pani przeprasza, ale dziś wyjeżdża za granicę.

— Tak? dziękuję... pożegnaj... Ot zaraz... ten bilecik...

— Także jadę... kurjerem na tamten świat... to jest... co to ja?... Aha!

Powiedz

pani, że kłaniam się i wyjeżdżam... więcej nic...

Tak mówiłem do służącej. — A może inaczej. — Czy ja wiem

zresztą?... Stało

się...

\* \* \*

Dyziro rozpuścił już gończe psy swoich uśmiechów.

— I czego ty, idjoto, śmiejesz się? — krzyknąłem...

— Ba! żebyś ty się mógł teraz zobaczyć... No spojrzysz w lustro... Mój kochany!...

— Zamilcz, Dyziro, bo jak nad brzegami tego lustra zobaczę ciebie, to... powiadam

ci, Dyziro, jeden z nas dwóch może to śmiercią przypłacić... Nie szperaj głupimi

słowaami po mojej twarzy. Nie wyczytasz nic, a śmierć znaleźć możesz...

— Ale bo ty zaraz przeinaczysz wszystko i w żart obrócisz... A tobie naprawdę z

tym do twarzy... Ogromnie cię lubię takim... Chodzisz tak..., chodzisz i wargi

przygryzasz. A na twarzy bielutki jesteś jak lilja... Czoło ci się schodzi,

schodzi. Nieraz myślę: "czy też on gumki ma w czole"? Powiedz mi, co zrobić,

żeby być takim jak ty? Jabym ogromnie chciał, ogromnie...

— Powieś się! Ożywił się...

— Naprawdę mówisz? I jabył wtedy naprawdę był takim, jak ty?  
— Tak, Dyziu, miałbyś choć jedną chwilę podobną do mojej...  
Posmutniał... Myśl, rzadki gość na jego twarzy, bruździła mu czoło,  
szła,  
szła... Drugi raz widziałem, jak pospadały z niego te bezmyślne  
uśmiechy — tam w  
ogrodzie, na chwilę, i teraz... Inny człowiek... Ktoś nieznajomy...  
Naga, sztywna twarz, uwolniona z objęć kretynizmu, wynurzała się ze  
swej oprawy,  
jakby ktoś obcy wszystkie piętna z niej postrzepywał... Coś pozsuwało  
się,  
zastygało w niej... Jakieś umęczone bydlę... Człowiek zjawy  
gorączkowej...  
Przeraziłem się...  
— To ty?... ty?... mówiłem — taki ty?... Czemuś wcześniej mi tego  
nie  
powiedział?...  
Dyzió nic nie mówił, tylko tkwił w jakiejś myśli groźnej, potężnej...  
— Rzuć ją, bo cię zabije... — mówiłem. — Czyliż me czujesz, że nie  
zniesiesz jej  
ciężaru?...

— A ty skąd wiesz? — rzucił stalowo.  
Ale w nim oberwało się coś nagle. Zachichotał swoim zwykłym  
śmiechem... I nic  
już — tylko idjota...  
— O jakiś ty śmieszny — mówił.  
— Powieś się — rąbnąłem. — Zrobisz jedyny altruistyczny czyn w  
życiu.  
— Aktor z Rozmaitości, aktor z Rozmaitości, hahaha...  
— Więc dobrze! śmieć się, idjoto!... śmieć!... Siadłem przy nim i  
zacząłem go  
łechtać.  
Dyzió fikał nogami, rękami się bronił, wrzucał mi w uszy rozbawione,  
bezmyślne  
rżenia śmiechu...

A tam... w oknie stała pewnie jeszcze Lena i śmiała się z naszego pożegnania...

"Pani nie przyjmuje"... Lena i tamten... śmiech idjoty...

— Śmieję się, Dyziu!

Poczułem obrzydzenie do siebie i do idjoty...

— Bydlę! — huknąłem.

Nie wiem: sobie, czy Dyziowi?

Drzwi na klucz zamknąłem i, pozostawiając Dyzia w zamkniętym mieszkaniu,

wyszedłem...

Długo szedł za mną po ulicy ten chichot... i Lena... i tamten...

Lena i chichot... tamten i Dyzio...

A ulica wrzała ludzkim mrowiskiem.

Tłumy i Lena... tamten i Dyzio... chichot i ulica...

\* \* \*

Nienawidzę w sobie tego mistrzowskiego grania na strunach ludzkiej wrażliwości.

Zgarbiony krzywdami własnymi, przywalony nieszczęsną podłością ludzkiej na-

tury, — idę i gram... Szaleję i cierpię, kurczę się i boleję, — a gram.

Nie

umiem dodławić w sobie bydlęcia, ani boga: muszę ich obu ludziom przekazać, —

idę i gram...

Ludzie, co mocy nie mają zajrzeć w oczy mojemu słońcu, z lubością w cienie moje

się wpatrują i zadowoleni są z bydlęcia mego, — i tak im gram.

— Szarpię, gryzę...

\* \* \*

Wstąpiłem do jakiejś cukierni i poprosiłem o papier.

"Raczie się państwo zgłosić po swego idjotę" — pisałem. —  
"Przebywa w błogim  
oczekiwaniu na Was w moim mieszkaniu. Ze szczególną czułością  
wspomina miłe  
chwile, spędzone w towarzystwie pana Bolesława".  
List wysłałem... Zdawało mi się, że zabiłem moje fatum. Nawet  
rozstanie z Leną  
zbladło i barwę pierwotną zmieniło.  
— Tak... to jakieś nieporozumienie... Czyżby ona naprawdę?... Nie!  
nie! Jutro  
wyjaśni się wszystko... Jutro życie dla mnie nastaje... Znowu sam...  
Chodźcie  
mary moje, sny moje, Leno!... Już nie odepchnie nas od siebie śmiech  
idjoty... A  
zresztą mniejsza o wszystko... Aby Dyzia nie było...  
— Panu dobrodziejowi kawki? herbaty? Ocknąłem się...  
Przedemną stał kelner z dziwiącą się uprzejmością, że w miejscu,  
gdzie zwykle  
się jadać i pić, siedzi człowiek chmurny i sam z sobą rozmawia...  
Zewsząd — od wszystkich stolików szły do mnie spojrzenia  
obojętnych mi ludzi i  
kąsały mnie...

Wyszedłem...  
Pozostawiłem za sobą cichą panikę zdumienia i bladą ironję kelnera,  
która kona  
pomiędzy oczami a ukłonami. I zaczęło się to straszne, bezcelowe  
chodzenie po  
mieście...  
Jedenasta bije, dwunasta bije, pierwsza bije...  
Okropność, jak godziny idą powoli... Idą powoli, bolą powoli... Idą i  
zrzucają z  
ludzkich twarzy uśmiechy nadziei... Jak kłody je zrzucają, jak  
rumowiska...  
Straszny jest łoskot tych spadających uśmiechów... O kamienie  
miejskie się

rozbijają, o suteryny... Twardo im... I mnie twardo... I tak idziemy... ja  
i te  
rumowiska uśmiechów...  
A po drodze zapraszają mnie prostytutki...  
Uda z pod sukni ukazują, ramion się czepiają... Zaczynam łkać...

\* \* \*

Marja chodziła koło kamienicy tam i napowrót... Błada była,  
zniecierpliwiona...  
Krok w krok za nią służący. "Sztandar bezpieczeństwa osobistego"...  
Ujrzała  
mnie...  
— Wreszcie — pan codzień tak późno?  
— Nie! później zwykle...  
— Pan mnie odprowadzi? Skinąłem głową...  
— Walenty do domu... Niech samowar będzie gorący...  
Poszedł...

— Pani zziębła?...  
— Trzy godziny już czekam...  
— Przepraszam...  
— Czy pan zamknął drzwi?  
— Ach tak... roztargnienie... Jeszcze przepraszam...  
— Dyzio dawno u pana?  
— Od samego początku. Wylękała się...  
— Pan wie o wszystkim?  
— O wszystkim? — nie! tylko platoniczniejszączęść... "Dyziu!  
pocałuj w prawe  
uszko... " Obrażony majestat...  
— Pan zawsze taki wstrętny?  
— Dziękuję za pamięć... Od jutra zdrowszy będę... Długie, uporczywe  
poszukiwanie  
barwy mych oczów...  
— Co to wszystko ma znaczyć?  
— Nic wybitnego.

— Pan dziś przełamuje swoje myśli na połowy i mnie same przełomy  
rzuca...

— Może być... Miałem dziś pewną przykrostkę... Niewielką: zdradziła  
mnie  
kochanka...

— Bezwstydnny!

Naraz, Bóg wie dla czego, łzy mi z oczu chlusnęły... Chciałem je  
kleszczami

śmiechu owinąć i przygryźć, ale śmiech zachwiał się we mnie,  
wywichnął i

obleciał długim spazmem łez.

Kląłem przed Marja i zacząłem całować jej kolana.

— Nie broń!... idjocie pozwalają...

Ale ona odskoczyła ode mnie jak zranione zwierzę i czając się przy  
murze, mówiła  
szepem:

— I jeszcze jeden! Wszyscy do moich kolan... Tamten... mąż. Mój  
gromowładny bóg

byłemi czasy... Błękity mi wyginał nad głową, w świt idących naprzód  
dni mnie

wołał... Poszłam... ostał u moich kolan. Ten — idjota... Jakiś się świat  
w nim

budził nieraz samoistny... "Na światło go wyprowadzę" — myślałam

— "na Boży

dzień"... Zdrętwiał przy kolanach... I czegoż jeszcze jeden? Kolan?...  
wszyscy

wszyscy

kolan!... I niewolnicą mnie zrobili ciała.... I sami się u kolan wiją...

Niewolnicy!...

Siekl mnie ten szepet...

Gdzieś... za mną zastukały kroki... Czy szedł kto?

Marja porwała mnie za rękę...

— Toż ulica! idźmy...

W milczeniu szliśmy po schodach...

Drzwi otworzyłem... Ale Dyzia w pokoju nie było. Przez otwarte okno  
wplywały

tylko fale nocnego chłodu, i światło świecy wykręcało się raz po raz  
od zimnych  
podmuchów.

Marja strwożonemi oczami błąkała się po wszystkich kątach mego  
mieszkania;  
lękliwe, popielate wejrzenia wrzucała mi w twarz, krzykiem wzroku  
siepać mnie  
zaczęła...

— Więc mistyfikacja — szepnęła.

Nie odwróciłem ani jednym słowem jej podejrzeń. Zaczęło się we  
mnie samym rodzić  
jakieś przypuszczenie, myśl, trwoga... Tak się coś trzęsło we mnie, tak  
trzęsło...

Otwierałem pośpiesznie szafę, zaglądałem pod łóżko, pod kanapę...

— Dyziu! panie Dyziu!

Nic... cisza... błada, strwożona cisza głuchej niepewności.

— Przecie zamknięte było — szeptałem rozpaczliwie. — Nie mógł  
wyjść...

— Nie mógł — odparła Marja.

Poszedłem do etażerki i zacząłem rozkładać książki — jedna po  
drugiej —

ostrożnie — z całą bacznością. — Czy ja wiem, poco?

Marja patrzyła na mnie, patrzyła i drgnęła naraz.

Odeszła do okna...

Wychyliła się i cofnęła nagle...

— Tu, tu, tu... — powtarzała w osłupieniu, ukazując palcem w noc, w  
ciemność, za  
okno...

Podbiegłem i zobaczyłem...

Pod oknem, na żelaznym haku, wisiał zimny, szpetnie wykrzywiony  
trup idjoty...

Duża, bezmyślna wrona oderwała się z lękiem od jego twarzy i ze  
straszonym

krakaniem uciekała na dach.

W tej chwili światło świecy zachwiało się, i umarło... Staliśmy tak oboje z Marją pochyleni nad trupem, a ciemność owijała nam twarze, że tylko mogliśmy je odgadywać...

## MOJE OPOWIADANIE.

Byłem skazany przez sąd honorowy na infamję...  
Czy rozumiecie, co to znaczy? — Nie? Szkoda! Jedźmy dalej.  
Byłem więc skazany na infamję.  
Sam wyrok właściwie nie przeraził mnie. Sformułowanie potępienia było niezwykle ostre. Wyszukano najjaskrawszych słów przy redagowaniu motywów. Występek mój zaliczono do kategorii najgnuśniejszych zbrodni. To mnie już w pewnym stopniu zabawiło, schlebiło nawet mej ówczesnej filozofji.  
Słuchałem wyroku jak szarży aktorskiej. Bez podniecenia — z niesmakiem tylko.  
Miałem przytym jeszcze licznych stronników. Wyrok ich oburzył. Rozdawali mi hojnie współczucia, szafowali protestem. Właściwie jednak oburzało ich zlekceważenie przez sąd ich zeznań. Byli wszyscy rzecznikami mej sprawy. Gorąco pragnęli potępienia moich przeciwników. Sąd — mnie potępił. Ambicja zaboląła. Wrzały niezadowolenia. Nieznacznie jednak protest zaczął opuszczać pięście. Budziły się ku mnie niechęci i żal. Tak zwana rozwaga, zastanowienie, zaczęły brać górę...  
"Bo już



to

należy przyznać... po głębszej refleksji. Bliższe stwierdzenie" i t. d.

Ręce

wyciągały się ku mnie z mniejszą życzliwością, ukłony sztywniały,  
uprzejmość

stygła.

Przeciwnicy tryumfowali... "Poznano się na nim... "

Zostałem skazany na towarzyską banicję, na przymusową samotność.

Nie pukałem do

niczych drzwi — wiedziałem, że nie otworzą się.

Był właśnie karnawał. Szlachetne oburzenia nawet się już nie burzyły  
— poszły w

służbę tańca. Kto żyw, wprzagał się do rydwanu uciech.

Zaczęło mnie to jątrzyć. Gniewał mnie sam widok ludzkiego

szczęścia. Nie mogłem

ze spokojem patrzeć na czyjąbądź twarz. Znienawidziłem nawet  
służbę. Wyręczałem

się nią jak najrzadziej — z przykrością, ze wstrętem niemal.

Drzwi zatarasowałem od mieszkania, aby nikogo nie wpuścić. Niktby  
przecie nie

przyszedł — wiedziałem. Ale jednak... od przypadku.

Zasłaniałem nawet okna. Leżałem cały dzień w półmroku i

wyszukiwałem w sobie

wad. Pod pręgierz własnego wzroku stawiałem całą przeszłość.

Przypominałem

najmarniejsze momenty mego życia. Chciałem odnaleźć w sobie

urodzonego

zbrodniarza. Wyłapywałem w sobie wszystkie krzywizny i rozdarcia.

Brała mnie

chęćka zadokumentować czymś moją zbrodniczość.

Zabić kogoś!? — za mało!

Wszelkie zbrodnie wydawały mi się czymś pospolitym.

Pragnąłem czegoś niezwykłego. Jednocześnie za-

cząłem się godzić z wyrokiem. Zarzucałem mu tylko banalność.  
Z mieszkania wychodziłem dopiero wieczorem — chyłkiem — jak  
złodziej.

W tym czasie natykałem się też na dawnych znajomych.

Fanatyczniejsza większość

spoglądała na mnie z pogardą, i to było prostsze i smaczniejsze.

Szlachetniejsza, wyrosła nad wyrok mniejszość odkryła odrębną  
formę powitania.

Kłaniano mi się, nie kłaniając.

Po jednym takim plującym w oczy ukłonie, postanowiłem odebrać  
sobie życie.

Całymi tygodniami myślałem nad sposobami samobójstwa. Nie  
miałem możliwości

otrzymać jakiegobądź trującego środka. To dziwne, że nie podsunęła  
mi się wtedy

pod rękę myśl powieszenia się, lub poderżnięcia sobie gardła.

Marzyłem o kulce. Tyle, a tyle ołowiu, kapiszonik! trach!... i po  
człowieku.

Otrzymanie jednak samobójczego narzędzia było prawie niemożliwe.

Dziwaczny

sposób mego życia zaczął już zwracać pocziwą ludzką uwagę.

Ta sama cnota kapeluszowa, co się sztywniła plującą uprzejmością,  
użyłaby całej

przemocy, aby mi pozostawić możliwość korzystania nadal ze swej  
wspaniałomyślnej

pogardy.

Poczucie tej zależności od tłumów podsycalo moją nienawiść.

Poznałem, że jestem igraszką w ich rękę. Od dzieciństwa używano  
mnie za środek.

Nie byłem nigdy dla nich sobą — czyniono ze mnie tylko obiekt do  
wy-

konania jakichś tam zasad. Dawano mi kaszę, lub głodzono mnie —  
nie dla mnie,

nie! dla zasad. Na mnie musiały się wypełniać wszystkie najgłupsze cele,  
wszystkie objęte foljami etyki paragrafy.  
Zapraǳiałem odbronić się tej przemocy. Plunąc protestem przeciw  
wszystkim i  
wszystkiemu! Zabić samą zasadę zasad... A czując, jak pięść bezsilna  
mi  
drętwieje, wołałem znowu pieszczącej mary samobójstwa.

\* \* \*

Nagle w życiu moim zaszedł wielki wypadek, a raczej nic nie  
znacząca drobnostka.  
Do pokoju mego skoczył przez otwarte okno z krzykiem przerażenia  
jakiś bury  
kot... Skoczył i znieruchomiał, jakby nasłuchując, czyli nie pędzi za  
nim  
niebezpieczeństwo.  
Na oknie i po podłodze wlekły się za nim duże, czerwone ślady krwi.  
Gdym podszedł do niego, podnieść się usiłowałem, ale nogi wygięły się  
pod nim, i  
upadł z jękiem na ziemię.  
Oczy miał wyłupione, wygryzione boki i nos, a patrząc krwawymi  
oczodołami, zdał  
się płakać.  
Rannym, zeszpeconym ciałem przygniatał połamane nogi, i widać  
było przez ciężki  
oddech, jak mu to ból sprawia...  
Podałem mu trochę mleka, ale on odwrócił głowę i tylko ciepłym,  
chropawym  
językiem polizał moją rękę.  
W kilka godzin już nie żył.

Ze smutną rzewnością przyglądałem się trupowi i czytałem na nim  
ślady jakiejś  
potwornej walki.

— Y — to psy go potar mosiły — rzekła służąca i z wesołą obojętnością wyrzuciła go z pokoju.

A we mnie gniew zakipiał na ten bezczelny chłód zobojętnienia. Wiedziałem, że z taką samą zimną jednakowością wyrzucają pamięć po mnie z "porządnych domów".

— Y! to psy go potar mosiły.

Czapkę zsunąłem na oczy i wyszedłem z mieszkania. Przed teatrem spotkałem

garstkę dawnych znajomych.

Rozmawiali o czymś wesoło, ale spostrzegszy mnie, zmieszali się i umilkli.

Byłbym ich kiedy indziej wyminął — dziś czułem niemal potrzebę zajrzenia im w oczy.

Patrzyli na mnie ze zwykłą niedbałością... "Y, to psy go potar mosiły".

Jednak ręce dotknęły zlekka kapeluszków. Był to ukłon. Przeszedłem posągowo

obojętnie i nie odpowiedziałem nań.

Wszedłem do teatru... Znajomi... wszędzie znajomi. Stoją małymi gromadkami i

rozmawiają...

Obecność moja sprawia im pewną niewygodę. Są cokolwiek zakłopotani.

Ale rzecz dziwna! z jednej gromadki wysuwa się pewien znajomy i idzie ku mnie z uśmiechem.

Jest to człowiek, który nigdy nie uczynił mi najmniejszej przykrości.

— Dobry wieczór! — woła serdecznie.

Patrzę przed siebie, i nic.

On stoi z wyciągniętą ręką. Rumieńce wypalonym cegłom podobne wypełzają mu na twarz.

— Dobry wieczór! — powtarza. W głosie jego drży niecierpliwość.  
A ja... nic...  
marmur.  
Przypomina mi się, jak ja kiedyś wyciągałem rękę i musiałem cofnąć.  
Tak samo na  
oczach tłumu. Ha! jak oni się przypatrują! Widzieli tamto, niechże  
zobaczą i  
to... Właściwie nie mam do tego żadnej logicznej racji. Jest mi tylko  
miło...  
boleśnie miło.  
On chwyta mnie za łokieć. Uśmiechem chce pokryć wzruszenie, ale  
nie umie, nie  
może... Drży, trzęsie się...  
— Cóż? nie poznajecie? — woła.  
A ja tonem tamtego i słowami tamtego odpowiadam spokojnie:  
— Nie znam pana.  
On stoi niezaradnie przede mną. Chce skłamać przed patrzącymi nań  
wstyd, czy  
oburzenie. Machnął ręką, jakby chciał powiedzieć:  
— Et, co tam! Kto na ciebie zwraca uwagę?  
Ale po chwili wyjmuje ni z tego ni z owego chusteczkę i ociera nią  
twarz. Zdaje  
mu się może, że wytrze się od tych natrętnych oczu, co śledzą go.  
— Nie wytrzesz się, człowieku! nie! — myślę — oni ci tam  
przypomną kiedyś.  
Będziesz się prażył jak ja...  
On wyjmuje naraz papierosa. Chce zapalić. I rzecz ciekawa! — nie  
może się uporać  
z zapalkami. Skaczą mu w rękach.

Wykręcił się nerwowo na obcasie i wyszedł z teatru. Postąłem jeszcze  
chwilę i  
także wychodzę. Badam teraz na tłumach skutki mojej bezczelności.  
Rozstępują  
się, kłaniają już bez lekceważenia. Człowiek odmawiający komuś  
swojej ręki,

nabiera większej wartości, imponuje im.

\* \* \*

Szedłem pustą ulicą i łkałem bez łez.

"Czemu odmówiłem mu ręki? Dla czego jemu właśnie?"

I znowu przed oczyma stanął mi ten pokrzwawiony trup kota.

"Dla czego psy go rozszarpały? Czemu jego właśnie?"

Zdawało mi się, że ta sama siła fatalna, co pisała wyroki na mnie, szarpała

biednego, niezaradnego kota. Siła Zła i Nienawiści... A ja sam pokrzywdzony i

zdeptany tą siłą, uczuwam ją teraz w sobie. Oplata mnie swemi ramionami wkoło, i

muszę być złym i nienawistnym, bom człowiek, bom życie.

"Czemu odmówiłem mu ręki?"

Szedłem ze zwieszoną głową ku ziemi i łkałem bez łez...

Nagle przy jednym z domów spostrzegłem czające się Zło.

Napół-naga nędzarka stała przy zimnym murze i prosiła o jałmużnę.

Znałem ją — była to pijaczka, której wszyscy prawie odmawiali datku.

Na plecach trzymała zawsze, owiązanego w jakieś

stare chusty, trzyletniego synka. Ten wychylał zziębniętą głowinę z gałganów i

pomagał jej zebrać.

Zdjąłem palto i oddałem je.

Objęła mnie na chwilę rozkosz tryumfu.

Szedłem pospiesznie do domu.

Ale szatan mój przyszedł za mną i dmuchał mi w serce.

Zdało mi się, że bury, z wylupionemi oczami kot patrzy na mnie i wyrzuca mi moją

podłość.

Zapaliłem zapałkę — ślady krwi nawet były już zmyte.

Położyłem się w ubraniu na łóżku i zasłoniłem dłońmi oczy.

— Czy ja naprawdę odmówiłem mu ręki? Czy ja naprawdę oddałem jej palto? Czy

naprawdę istniał sąd jaki?

— Naprawdę — krzyczało echo.

— I to ja? wszystko ja? Jeden? Ten człowiek, co ma swój jeden paszport? swoją

oddzielną legitymację ?

— Ty! wszystko ty! — śmiało się echo.

— Ja pogardzany? ja nienawidzony? Krzywdziciel i ofiara? Szatan i Bóg? Ja? Zali

to wszystko ja?

— Ty! ty ! ty ! — darło się echo.

Naraz zdało mi się, że sądzono mi rozpiąć wszystko uwieszone.

Zbierają się na mnie sądy i depcą mnie, Akostę własnego szalu, a ja idę i głoszę

im siebie. Skradam się omackiem pod cudze domy i spuszczam psy z łańcuchów...

Wszystkie psy na całym świecie ze wszystkich łańcuchów...

Wychodzą grubi powroźnicy i restauratorzy i grożą mi...

"Hej! bo się wścieknie świat!" A ja podzwaniem psiami łańcuchami, rozrywam je,

szarpię...

Idźcie psy! Wyjcie, szalejcie jak ja. Tylko nie drzyjcie tego burego kota. Stoi

jeszcze przede mną z wygryzionymi oczami i liże mi rękę.

Czyż nie widzicie, że płacze, jak wy na łańcuchach płakaliście? Nie? nie

widzicie?... nie?...

O nie podchodźcie do mnie!...

Z uśmiechem miłości idziecie, czy z nienawiści jadę — wstrzymajcie swe kroki.

Któż ty blady przyjacielu, co się nie lękasz mego upodlenia?

Przez okno wchodzisz? Dobrześ uczynił, żeś ominął wrota.

Znam cię tak dawno. Tylko te rysy białe jak u trupa.

Ach wiem już, wiem... tyś księżyc...

Patrzcie! wszedł przez okno i chodzi po pokoju.  
Nikt go nie usłyszy, bo on bez kroków stąpa.  
Kłania mi się.  
Odkąd że to księżyc chodzi w kapeluszu?  
Uh! jak to śmieszne! jakie to bolesne!  
Chybaś ty nie księżyc?...  
A nie! nie! To sąd honorowy.  
Stoi przede mną i kłania się.  
Czemu takie masz oczy obrzmiałe i zieloną twarz?  
A kłaniasz się jeszcze!...  
Słuchaj ty! ja nie mam do ciebie żadnej nienawiści.

Odejdź ode mnie! Płaczesz?... Widzisz — i ja płacę. Czuję, jak  
wszystka  
nagromadzona latami rzewność bije mi do oczów.  
I już niema nikogo przy mnie. Tylko ja i moje łzy...  
Ach, jak mi dobrze, że tak płakać mogę, jak mi źle!  
Lecz czemu się drzwi uchylają?  
To ta — moja, którą tak ukochałem.  
Usłyszała łzy moje i przyszła mnie utulić.  
Siada przy mnie i całuje mnie w czoło.  
— Kochasz? — pytam.  
— Kocham...  
Otwieram oczy.  
Świt... Cisza.  
Rozglądam się... Nikogo...  
Tylko wyrok wisiał jeszcze nade mną jak opar, który ma się  
rozchwiać przy muzyce  
słońca.

\* \* \*

Kupiłem bilet i pojechałem w świat.  
Słońce mi zagrało.



POLICZEK.

Nazywali go warjatem (bzik w skróceniu). Cierpiał podobno manję prześladowczą.

Właściwie unikał ludzi i nie ufał im.

O ile mogę zapamiętać, nie miał ani jednego bliższego znajomego.

Nie rozumiem po

prostu, w jaki sposób mogliśmy się zbliżyć do siebie. Jednak

zbliżyliśmy się...

Był przyprószonej siwizną i starczo zaszuszonej. Ze mnie życie dopiero zaczęło

zwiewać rumieńce... Byłem wyrostkiem za ledwie. Ot i sprzęgliśmy się... Na

brukach dużych miast zdarzają się takie kombinacje... Dzieliliśmy się nieraz

pieniędzmi lub tytoniem... Czasem nawet jadaliśmy razem obiady.

Częściej nie

jadaliśmy wcale, ale to nie zawsze robiło nam różnicę.

Chciał, zdaje się, stworzyć wielką statystykę znanych prokuratorjom zgwałceń...

W tym celu czytywał pilnie wszystkie europejskie dzienniki i

wiecznie robił

notatki.

Poza tym był zwolennikiem czystej miłości i przymierał z głodu. W

wolnych od

tych zajęć chwilach, pisywał do zagranicznych pism korespondencje i niekiedy

otrzymywał nawet honorarja.

Nauczył mnie pić czarną kawę i używać do papierosów dwa razy jedną tutkę.

Nie lubiłem go za jego małomówność i podejrzliwość.

\* \* \*

Jednego dnia wziął kij do garści i, kiwnąwszy mi głową na pożegnanie, poszedł...  
Nie było go dwa dni...  
Czułem śmiertelną nudę... Co parę godzin przychodziłem do jego mieszkania, by się dowiedzieć, czy jeszcze nie wrócił?  
Brałem klucz od stróża, otwierałem drzwi i czekałem.  
Do tego jeszcze zacząłem odczuwać przykry brak pieniędzy. Drugi dzień nic nie jadłem.  
Postanowiłem za jakąś cenę najeść się.  
Wzrokiem głodu mierzyłem i oceniałem wszystkie sprzęty mego przyjaciela. Nie wiedziałem jeszcze, że popełniam kradzież. Instykt tylko ciągnął mnie do rzeczy drobniejszych, łatwiej dających się ukryć.  
Zdarłem z łóżka prześcieradło i, owinąwszy je w papier, wyszedłem. Sprzedałem je handlarzowi.  
Ponieważ do mego mieszkania było zbyt daleko, zapasy żywności zniosłem na miejsce kradzieży.  
Była właśnie pełnia... Jadło rozłożyłem na stole i przy świetle księżyca zacząłem je żreć...  
Drzwi otworzyły się cicho — ktoś wchodził. Spojrzałem — był to mój przyjaciel.  
Nazywali go warjatem (bzik — w skróceniu).  
Był okryty kurzem. Kijek trzymał pod pachą i, nie

zdejmując jeszcze kapelusza, śmiał się pełnym niekłamanym zadowoleniem.

— A haha... co? hahaha... jakże?... haha.. W oczy zajrzało mi upokorzenie.

— Co to? Wędlinka? — mówił rozpromieniony — niezrównanie!  
Właśnie głodny jestem

jak pies... Niema świecy?

— Zdaje się, niema.

— Tym lepiej: księżyc... Oh! jaki świat miły! Drwi! chce zabić szyderstwem! —

pomyślałem.

— Panu dziś dopiero miło? — rzuciłem z ironją — to dziwne!

Ogarnął mnie suchym zezowatym podejrzeniem. Głos mu schropowaciał.

— Czy pan tu długo siedzi? — spytał. Zaśmiałem się...

— Tyle właśnie, ile mi było potrzeba... Co? A pan chce się bawić w kotka i

myszkę? Mnie się taka zabawka może nie podobać.

Posmutniał... Patrzył na mnie z jakąś bolesną nieśmiałością.

— Przepraszam pana — mówił powoli. — Ja to rozumiem, tylko czasem muszę być sam.

Musiałem iść, więc poszedłem. Panu samemu podle tu było? — wiem.

Głuchy wstyd połamał we mnie wszystkie myśli.

— Gdzie pan był? — spytałem cicho.

— Na powietrzu, od wioski do wioski, panie! Cała ziemia kwitnie...

Panuby także

potrzeba. Lubi pan zsiadłe mleko? obdarte bachory? co? Tamby się całe lato kapać

w tych sadkach... Nawet nie wiele kosztuje.

Nasz chłop oddaje swoją strawę byle za co... Cóż? kiedy i na to niema!

— A poszedby pan po zebraniu? — spytałem. Wykrzywił się.

— Gdzie pan upolował taki pomysł?

— Przeraza pana?

— Nie! zdziwiło tylko — czekaj no pan... Dla nowości chyba? co? ale i to nie...

Z rozpaczki? — także nie! Ukraść, zabić... — to jeszcze... to prędzej w pańskim

stylu. Ale ostatecznie i to więcej w fantazji, niż w czynie.

— Ale zawsze mój styl? prawda? mój? Klepnałem go ni z tego, ni z owego po

ramieniu

i zacząłem się śmiać.

— Co? mój? widzi pan! — powtarzałem — jednak mój i jednak styl.  
Ruszył ramionami.

— Co to właściwie takiego śmiesznego?

— Ba! właśnie! w tym cały sęk... hahaha... cały rosół, że tak  
powiem....

hahaha...

Niezwalczony, męczący atak śmiechu zatrzęsł moimi ramionami.

Wykrztuszałem

jakieś monosylaby, ale słowa nie chciały się już okrąglić, — mięły się  
w

zygzaki.

Przyjaciel patrzył na mnie ze zdziwieniem... Później zaczął się  
uśmiechać...

Później podszedł do łóżka i podniósł kołdrę.

Spojrzał na siennik ogołocony z prześcieradła, chwilę stał w  
zdumieniu i poszedł

spokojnie ku szafie.

Wyjął czyste prześcieradło, rozpostarł je na sienniku, zaczął się  
rozbierać.

Przestałem się śmiać... tylko jeszcze łzy ocierałem z oczów i  
powtarzałem:

— A niechże pana... A niechże pana...

Wkońcu nastąpiło milczenie.

\* \* \*

Siedziałem oparty na stole. On leżał w łóżku... Nie patrzył na mnie,  
ale nie  
spiał.

— I cóż? — spytałem — zrozumiał pan teraz?

— Zrozumiałem — odparł — jesteś pan zdenerwowany.

— Tylko?

— Nie wiem...

— Czy pan zauważył w swoim mieszkaniu kradzież? — spytałem szorstko.

Podniósł się z pościeli, wsparł głowę na rękę.

— Pan ma dziś niezmiernie ciekawy dzień — mówił.

— O tak, bez wątpienia.

Siadłem przy nim na łóżku i mówiłem szeptem:

— Ukradłem dziś panu prześcieradło... Sprzedałem je. Ot widzisz pan tę wędlinkę?

— to prześcieradło.

A teraz mów pan, czyś pan poznał brak skradzionej rzeczy?

Kręcił głową i, przymrużając oczy, mówił:

— Niezmiernie, niezmiernie ciekawy ma pan dzień.

— Panie! czy pan słyszy? Pan mnie musi odpowiedzieć! — mówiłem coraz

gwałtowniej.

Wykrzywił się bolesnym uśmiechem.

— Pan mnie przykrość robi — odparł.

— Więc czemu mnie pan dręczy?

— Nie rozumiem... nie rozumiem... — powtarzał. —

O co idzie? Jakie znaczenie może mieć prześcieradło? Właściwie, co mnie to może

obchodzić, czy pan je sprzedał, lub nie? Dajmy na to, że jest pan głodny

i sprzedaje jedno z moich prześcieradeł... Cóż z tego wynika? Poco mi pan

bryzgasz w oczy takie słowa, jak "kradzież". Jesteśmy chyba przyjaciółmi.

— Więc sprzedałem pańskie prześcieradło, czy nie? — krzyknąłem w najwyższym rozdrażnieniu...

— Dajmy na to, że je pan nawet sprzedał... — mówił niecierpliwie.

— Panie! — wtykałem mu niemal w same uszy. — Mnie nie obchodzą żadne "dajmy na

to"... Chcę kategorycznej odpowiedzi... Ukradłem, czy nie ukradłem? Podniosło się w nim oburzenie.

— Ależ pan mnie tyranizuje — zawołał, rozkładając ręce i siadając na łóżku.

Palcami wdarłem się w jego chude ramiona i zacząłem trząść niemi w paroksyzmie

niecierpliwości, jak się potrząsa gruszą, aby ją ogołocić z owoców.

— Żądam odpowiedzi... słyszy pan?

Zwinnym małpim ruchem odepchnął moje ręce, skoczył na podłogę i, przewracając

krzesło, uciekał w śmiesznych susach na środek pokoju.

— To jest formalny gwałt! — krzyczał jakimś przyciętym głosem.

We mnie zbudziło się wtedy najbrutalniejsze zwierzę.

Najpodlejsza rdzeń człowieka zapanowała uczuciem

i instynktami. Stałem się najmniej i najwięcej samym sobą.

Podbiegłem do przyjaciela i wyciąłem go w twarz.

\* \* \*

Całą noc tułałem się po mieście. Śladami mojemu stąpał mój wstyd.

Starąłem się

zagłuszyć jego kroki i zatykałem uszy mej Boleści. Wstyd nie odchodził...

Siadałem na kamieniach samotnych ulic i wyciągałem ręce do niebezpieczeństw.

Ulice były ciche i milczące, a koło mnie nikogo nie było krom mojego bólu.

Szybkimi krokami postanowienia zbliżałem się do domu zelżonego przyjaciela i

zamierzałem go rozbudzić. Sam nie wiedziałem poco? Ale w ostatniej chwili ręce

odpadały od zamiaru i czułem się jeszcze smutniejszy.

Tak przebyłem noc...

Ranek obluzgał mnie promieniami światła, a wstyd mój stępał i zawiądnął...

Patrzyłem nań, jak się patrzy na nieuniknioną szubienicę.

Znużone jęki ogłuchły i dały się kierować rezygnacji. Wszedłem do przyjaciela...  
Nie spał... Długie godziny męczącej nocy pobieleły mu twarz długimi żółtymi smugami. Pod okiem siniała plama otrzymanego policzka. Błademi nieruchomymi oczami patrzył w siebie. Przyjściu memu nie zdziwił się, ale nie mówił ani słowa. Siadłem przy nim na łóżku... Obaj milczeliśmy... I tak trwało długo...  
Spojrzał na mnie cicho, jak skarcone dziecko i wyszeptał:

— Wiedziałem, że pan przyjdzie. Milczałem ciągle.  
Po twarzy jego przebiegały jakieś ponure cienie.  
Zadrgały i zsunęły się... Oczy zbladły i wykrzywiły się, jak się wykrzywiają usta.  
W głosie zadrżała jakaś niezmierna, tajemnicza trwoga.  
— A co jest najstraszniejsze — mówił — to ten fatalizm.  
— Pan wie o tym? pan wie? — zawołał gwałtownie — że ja już pięć takich policzków otrzymałem. Pięciu przyjaciół i od każdego policzek! Każdy policzkiem zrywał...  
Jak z psem. Idź pan, idź pan! Jutro pan przyjdź, pojutrze... ale nie dzisiaj...  
Zrozumiałem pana... wiem wszystko... Jaby też wypoliczkował.  
— Jednak odejść pan!...  
Ująłem lekko jego dłoń i rzekłem:  
— Uspokój się pan...  
— Uspokoić? haha... I tamci to samo mówili... Fatalne! Podli! dzicy! Tfy!...  
Plunął przed siebie, jakby w kierunku stojących tam pięciu przyjaciół...  
Obejrzałem się bezwiednie — zdało mi się, że tam opluci stoją ci wszyscy "podli

i dzicy". I długo potym wycierałem na czole widmo tej rozprysłej śliny...

## NA CMENTARZU.

Kochała śmiech, taniec, wesołość... Przepadała za dowcipem i humorem. Lubiła wyczuwać nerwami życie próżne, syte. Prosiła mnie, abym ją zabawił, tak "jak to ja tylko umiem".

Pragnęła bezmyślnego śmiechu.

Zaprowadziłem więc ją na cmentarz.

— Luczy! kochana Luczy! Spójrz na tego anioła kamiennego, co się nam

przygląda. Posłuchaj jak bzy nad grobami gadają, jak szepcą jaśminy... Luczy!

o Luczy! pragnieszże teraz jeszcze, bym ci opowiedział coś wesołego?

— Opowiedz, dziecię.

— Luczy! nie nazywaj mnie dziecięciem, boś ty nie dojrzała jeszcze do mego

dzieciństwa... Słuchaj! czy nic już twego męża nie kochasz?

— Bawić mnie miałeś...

— O Luczy! przekłeta Luczy! jak ja kocham ciebie... Czemu nie porzucisz męża?

Czy uciekłabyś ze mną w świat?

Spojrzenia jej zawieszona na moich oczach tak pachniały.... Utopiłem w nich

przerażone, długie pytanie...

— Wszędzie... — szepnęła.

Porwałem się całować jej ręce, piersi, szyję...

— Więc uciekajmy! cóż cię tu trzyma?... Patrzyła w ziemię. — Milczała...



— Luczy! jak ty możesz żyć obok człowieka, którym gardzisz? On taki wstrętny, nieestetyczny... Przecie wy w jednym pokoju sypiacie... to rozbieranie, ubieranie... Luczy! jakież to potworne.

Usta jej zadrżały.

— Więc cóż? cóż? — mówiła — porzucić wszystko? ja tak lubię dostatek... I spać lubię długo... I robić nic nie umiem... Oh, jak ja boję się pracy... Ręce zaraz twardnieją, brzydnię się... tybyś mnie sam nie kochał, gdybym zbrzydła.

Głowę wsparłem na jej piersiach i szeptałem:

— Uciekniesz ze mną? prawda? Uciekniesz? Dłonią włosy mi głaskała, mówiąc:

— Porzuciłbyś... wiem...

— Nieprawda! Kłamiesz Luczy! Kłamiesz i sama kłamstwom swym nie wierzysz. Boisz się mojej nędzy. Nie chcesz utracić swoich pięknych sukni i wytresowanej służby.

Obawiasz się, że ci nie stanie przy mnie kucharza i świecidełek...

Luczy!

bezmyślna Luczy! czemu ty mnie tak nie kochasz, jak jabym pragnął.

— Miałeś mi opowiedzieć coś wesołego...

— Dobrze... opowiem... Słuchaj! odbierzmy sobie razem życie... Ty będziesz taka piękna po śmierci... Katafalk kwiatami ubiorą... I mąż zrozpaczony przyjdzie

ręce łamać... Twój stary przebrzydły mąż.

Głowę położyłem na jej kolanach. Ona mi dłonie

na czole oparła i lekko, lekko przesuwiała je. Czuję, że wszystko wyje we mnie,

płacze. Ach, ja ją tak kochałem!

— Czy wiesz Luczy, że ja na tym cmentarzu kawałek duszy zostawię. I zamiast tego

kawałka cmentarz za sobą poniosę... A ludzie patrząc w moje  
cmentarze, poruszać  
ramionami będą.....Hi — taki młody,  
a dziwak"... Prawda, jakie to śmieszne?  
— Nie mów tak — szeptała — ty umiesz być innym... Bądź takim,  
jakim byłeś  
wtedy... pamiętasz?  
— Luczy! okłamałem cię... Nie jestem takim, jak byłem wtedy...  
Jeżeliś we mnie  
pokochała kłowna, Luczy! przebacz! ja nim być dzisiaj nie mogę...  
— Nie! nie! ty nudzisz się ze mną.  
— Kłamiesz, bezmyślna, straszna Luczy! Kłamiesz!  
— Więc bądź wesołym...  
— Dobrze, Luczy! będę wesołym... Opowiem ci bajkę... Tylko  
trzymaj, trzymaj mi  
ciągle ręce na czole... Spójrz na wykrzywioną mordę tego  
kamiennego anioła...  
Zakryła mi usta dłonią.  
— Nie bluźnij! proszę cię... wiesz przecie, że mnie to razi...  
— Ach tak... prawda... zapomniałem — tyś zawsze taka pobożna,  
Luczy? Ileś ty  
razy męża zdradziła? Albo nie! nie! wybacz! bawić cię miałem. Czy  
ty codzień  
jeszcze na mszę chodzisz?  
— Codzień... Czemu mnie nie bawisz?  
— A ten tłusty księżulek co niedziela jeszcze miewa kazania?  
pamiętasz? Czy ty  
naprawdę wierzyłaś, że

mnie nawrócisz?... A gdybym tak naprawdę uwierzył w katolicyzm?...  
coby się  
stało z moją miłością?... A ty, Luczy, kochasz mnie przecie, choć  
katoliczką  
jesteś.  
— Chodźmy... zmierzcha się już...

— Nic to, kochana... Na grobach tak dobrze o zmierzchu... Będziemy śnili, że

jesteśmy trupami.

Uśmiech jej zzieleniał... zatrzęsa się...

— Uh, jak ja się boję śmierci...

— Siedź, Luczy, siedź! Czyż nie czujesz, jak cmentarne mroki chodzą... Patrz!

oplatają się o krzyże... Jak mi tu dobrze z tobą i z temi mrokami...

— Boże! zagrzmiało... Niebo chmurami się zaciąga... Uciekajmy!

— O siedź, Luczy! siedź!... Nie stratuje nas burza... Mnie się nie imają

groby... Ścisnąłem jej ręce i cicho, namiętnie szeptałem wyznania oszalałej

miłości...

A ona trzęsa się ze strachu przed mrokami i burzą, ale z łakomą pożądlivością

jednocześnie słuchała mych wyznań.

\* \* \*

Wiatr zakołysał bzami... Kilka liści oderwanych siepnęło nas po twarzach... Nad

głowami zaryczała nam burza...

Nim zdążyliśmy się opamiętać, byliśmy otoczeni ciemnością, grozą i przerażeniem.

— Uciekajmy! — szepnąłem.

Luczy przycisnęła się do mego ramienia i dała mi się powodować jak zahypnotyzowana.

Deszcz spływał po nas całymi potokami... Błyskawice migotały co chwila, ukazując

nam groby...

Woda chlupała pod nogami... Szukaliśmy wyjścia z cmentarza.

— Luczy! nie bój się — szeptałem...

Ona przyciskała się wtedy mocniej, i tak szliśmy przez rozmokłe chodniki, przez

zimne wilgotne trawy, co chwila zawadzając się o jakiś krzyż stary,  
pomnik, lub  
gałąź.

Już, już, zdało mi się, trafiamy na dobrą drogę, — przyspieszałem  
pewnego kroku,  
gdy naraz pod nogami wyrastała nam kucza splątanego badyla,  
kuszczę, lub  
nagrobek.

I wydał mi się cmentarz nieobjęcie wielkim, rozrzuconym szeroko na  
przestrzenie... wszędzie groby i groby — nie do przebycia.

— Luczy! nie bój się — powtarzałem.

Znowu czułem jej uścisk, znowu darliśmy się przez jakieś twarde  
osty, darnie i

łopuchy, znowu mieliśmy pod nogami napół rozwalone groby.

Coś zaskrzypiało i kołatnęło pod nogami... Cofnęliśmy się  
przerażeni... To

spróchniały krzyż zastękał pod grzmotnięciem wiatru i runął u  
naszych stóp.

Widzieliśmy teraz poprzez błyskawicę, jak leżał rozdarty na dwoje,  
niby bolesne

widmo ponurego strażnika grobów... Cał, pół cała bliżej, a byłby mi  
Luczy

roztrzaskał.

— Nie bój się, nie bój się, Luczy! — szeptałem. Zapłakała we mnie  
jakaś rzewność

nad nią. Luczy

przyciskała się do mnie, jak bezsilne dziecko, które

poprowadzić mogłem, gdzie tylko pragnąłem... choćby w rozwarte  
groby.

Lęk już odleciał od niej, była jakby upojona hałasem burzy i krzykiem  
cmentarza.

Czułem, że tam, w tym płytkim sercu samicy, w tej ukochanej przeze  
mnie pustce,

— rozwalają się jakieś ponure głębie, otwierają się mroczne  
rozpadliny, budzą

się głosy, których nigdy nie było tu przedtym.  
Tak mi się zdało przynajmniej.  
A jęki, jak duchy złośliwe, uganiały się po cmentarzu, ciemność  
nieprzebytą  
zaporą stawała między nami a wyjściem.  
Roztworzyły się obłoki na chwilę, ukazując wnętrze dalekiej, dalekiej  
sceny...  
Tam jacyś aktorzy niewidzialni grali zawziętą walkę... dobijali się i  
mordowali  
wzajem... tu — po cmentarzu błąkało się dwoje ludzi, dwa połączone  
tragiedją  
miłości światy...  
Szli i przystawali, cofali się i znowu szli naprzód...  
Jeszcze jedno usiłowanie, jedna uparta próba, zamigotały dwie, trzy  
błyskawice... zatrzymaliśmy się... staliśmy przed trupiarnią.  
— Nie boisz się, Lucy? wejdiesz? — spytałem.  
Ona nic nie odparła, tylko głową przytuliła się do mego ramienia...  
Drzwi popchnąłem... Skrzypnęły głucho... trupiarnia stała otworem...  
Weszliśmy...  
Owiała nas niemiła, wilgotna woń pleśni i zaduchu. Wobec tego  
jednak, co  
przeżyliśmy tam — na otwartym powietrzu, trupiarnia wydała się nam  
jakimś

wymarzonym schroniskiem, pod którego dachem mogliśmy urągliwie  
zaglądać w oczy  
burzy i deszczowi.  
Huczały tylko i trzęsły się drewniane gonty nad naszymi głowami, raz  
po raz  
rozkurczały się konwulsyjnie błyskawice, ale nie stąpaliśmy już po  
zimnych  
kalenicach, i kurzawa zawieruchy nie cięła nam oczów ulewą.  
Zapaliłem zapałkę... Dwie trumny były w trupiarni...  
Jedna oparta o ścianę stała tuż przy samych drzwiach, obok niej  
wieko. Druga,

wywrócona dnem do góry, leżała na ziemi... Na podłodze świeże  
wióry i stolarskie  
narzędzia... Stolarz jakiś pewnie w porozumieniu z grabarzami w  
trupiarni  
warsztat uczynił.

— To nie trupy — rzekłem. — Nie bój się, Luczy. Pociągnąłem ją za  
rękę...

Siedliśmy na leżącej  
trumnie...

— Mów, mów co, bo oszaleję — szepnęła.

— Dobrze, Luczy! Kocham cię...

Naraz błyskawica wpadła do trupiarni. Za oknem stał ktoś oparty  
czołem o szybę i  
patrzył na nas.

Luczy ścisnęła mnie mocno za rękę, głowę tuląc do mojej piersi i  
chowając ją pod  
mokre palto.

— Nie bój się, Luczy! jestem przy tobie...

Ale tamten z za okna wchodził już do trupiarni... Kroki jego  
złowróbnym  
rozbrzmiewały echem po drewnianej podłodze.

— Czy wy trupy? — spytał.

Luczy dygotała oparta o moją pierś... Palcami wciskała się w moje  
ciało...

Wszystkie myśli we mnie zdrętwiały.

— No, jest kto? — spytał niecierpliwie. Naraz oprzytomniałem...  
Warjat! — pomyślałem.

Nie chcąc być dłużej igraszką niepewności, zapaliłem zapałkę...

Przed nami stał mąż Luczy...

Od dłuższego czasu cierpiał już na delirjum. W paroksyźmie choroby  
wykładał się  
z domu i błąkał się, dopóki zmęczenie fizyczne i głód nie zapędziły go  
napowrót  
do domu.

Stał teraz z wywróconymi obłędem oczami i nie poznając nas mówił:

— Ach jak to dobrze, że wy nie trupy... Nie widzieliście tu Luczy?  
— Nie — odparłem krótko.  
— Może być... tak... tak... — mówił z rezygnacją. — Ona pewnie  
jeszcze na  
cmentarzu... Cały dzień ją przecie śledzę... Z gaszką sobie poszła...  
Ale ja  
ich znajdę...  
Naraz szlochać zaczął boleśnie, powtarzając głosem, który rozdzierał  
się, jak  
postrzępione szmaty.  
— O Luczy! Luczy! jak ona mnie zawsze zdradzała.  
Wyszedł z tym szlochaniem z trupiarni, a gdy nowa błyskawica  
skrawek cmentarza  
nam ukazała, widzieliśmy, jak nachylał się nad grobami i szukał  
swojej drogiej,  
ślubem zaprzysiężonej Luczy...  
Straszno pomyśleć: nie zbudziła się we mnie odrobina litości do tego  
pomiętego  
chorobą starca... Nie poszedłem, nie zawróciłem go... Niech chodzi,  
niech  
szuka...

Wydało mi się, że tam wtłoczone w delirjum tego żywego trupa,  
chodzi całe  
umęczone człowieczeństwo.  
Chodzi po cmentarzach i szuka... Szuka i ręce załamuje.  
— Ach, jaki on podły — szepnęła Luczy.  
— Wszyscyśmy podli...  
— Nie wszyscy, nie! — szeptała — ty nie podły... I za to kocham  
cię!...  
— Kochasz, Luczy? Kochasz? — szeptałem. — A gdybym tak  
delirjum dostał, jak  
on?... Daj dowód, że kochasz... — oplotłem ją wkoło ramieniem...  
Ręce  
przyklepiały się do jej mokrej sukni. Czułem, jak pod dłonią biło mi jej  
serce...

A ona dała mi dowód miłości, największy, na jaki się może zdobyć  
kobieta czysta  
i ambitna; najmniejszy i najpospolitszy, na jaki się zdobywa szafująca  
ciałem  
ścierka...  
Przyciągnęła mnie rękoma drżącymi i... oddała się...  
tam... na tej trumnie...

\* \* \*

Była to jedna z najstraszniejszych moich halucynacji.

## PO ŚMIERCI.

Stałem długo na strychu i przyglądałem się sznurom.  
Brudny, pomarszczony wiatr wpadał przez wszystkie szczeliny dachu  
i trząsał się  
złowrogim uśmiechem... "Powieś się, podlecu! Powieś się" —  
krzyczał.  
Ręce oparłem na sznurze i chciałem oczy zmusić do płaczu. O, jak go  
pragnąłem  
gorąco!  
Ale łyzy, nieposłuszne mej woli, cofały się od powiek i jęczały we  
mnie jak  
więźnie... Śmierć położyła mi ręce na czole i szeptała: "Powieś się!  
Powieś się,  
kochasiu!... "  
— Ehe — ehe — he!... — śmiały się mroki nad głową.  
— Anuże, podlecu! — wył opiekuńczy djabeł mego życia.  
I powykręcały się bezkształtnymi cielskami te mroki, rozłożyły się te  
czarcie  
skrzydła nade mną i zasyczało wszystko, a zaskowyczało — ehe —  
ehe — he...



Sznur oplatałem o szyję — ręce opuściłem — nogi do ziemi — i zawisłem w powietrzu.

Z mroku wypełzły tysiączne głowy potworów, zaśmiały się bezzębnymi ustami, zakłapały wargi, trwogę rozbudziły we mnie... "Ocalić się... odratować!... "

Szarpnąłem się raz i drugi — z całej mocy... wołać

chciałem... "ratunku, pomocy!... " ale sznur werznął się głębiej w szyję i doduszał...

W pół godziny wiatr huśtał już moim sztywnym ciałem... Skrzypiały powrozy...

wychodziły ze swoich siedzib szczury i stukotały po strychu, jak groby

zbudzonych z letargu ludzi...

Nad miastem noc rozwieszała kiry i nad domami stała, jak przekleństwo.

Zamigotała na strychu blada latarenka... Dwie służące weszły z tobołami

bielizny...

Rozmawiały zjadliwie o swojej pani...

— Jezus Marja! — krzyknęła nagle jedna...

— Wisielec!...

I obie porwały się do ucieczki...

A trup mój zachybotał się od szarpnięcia sznurów i w świetle na pół rozbitej

latarki kołysał się z wytrzeszczonymi oczami i wywieszonym na brodę językiem...

Szeleściła tylko rozsypana w popłochu bielizna i noc stękała nad dachem.

Lecz oto rządca domu, policja, — cała komisja śledcza.

Kilku ludzi wynosi omdlałą moją żonę...

Matka stoi oparta o jakiś stary magiel i patrzy...

Nie zemdlała, nie płacze, — jest tylko biała bardzo i patrzy.

Zaczynają się formalności... Odcinają trupa... Układają go na nosze...  
Ona  
patrzy tylko...  
Przechodzi dzień...  
Samobójstwo już stwierdzone... Sekcja dokonana...

Z doktorem sprawa załatwiona. — "Obłąd, niepoczytalność"...  
Nie wiszę już na strychu... Leżę w metalowej trumnie...  
Ktoś mi papierowego Lojole do ręki wsunął...  
Koło mnie — na prawo — na lewo... gromnice...  
Obstawiono mnie kwiatami... Schodzą się przyjaciele...  
Ktoś się przeżegnał "od oka" — inni klękają nawet — wszyscy są  
smutni, bardzo  
smutni...  
Niektórzy nie wiedzą nawet, po co tu przyszli? — trochę ciekawość,  
trochę  
przyjaźń — zresztą wypada...  
Ci i owi pocieszają żonę — "nieodżałowana strata"... — nie mogą  
nawet od  
wzruszenia mówić — "robią śmierć"...  
Zaczynam odczuwać jakiś tępy niesmak.  
Zbiera mnie litość...  
Podnoszę się z trumny i wychodzę...  
Nikt tego nie spostrzega, bo trup pozostał nieruchomy... jest mi  
dziwno, że  
mogę być trupem i sobą zarazem, — jednak nie silę się nawet  
zrozumieć tego...  
Zaczynają się pertraktacje z księdzem... "Niemogę: samobójstwo...  
Czyż nie  
rozumie pani tego?... "Żona trzęsie się od płaczu... "Niech się ksiądz  
dobrodziej zlituje... "  
Ale "ksiądz dobrodziej" daleki jest "od litości".  
"Wszak znał moje życie... ateizm... nihilizm"...  
Z drugiej strony ewangelija, religia, obowiązki chrześcijańskie...  
słowem

świętości... Żona pokazuje świadectwo lekarskie, jednocześnie wtyka mu w rękę pieniądze... Dużo, bardzo dużo...

Wszystko, com zostawił po śmierci, jeszcze dokończyła...

Dobrodziej przymruża świątobliwe oczy, jednak wydaje mu się jeszcze za mało. —

"Samobójstwo przecie" ... Żona pada wtedy na kolana i całuje jego kamasze.

— Litości! wszystko oddam...

Dygnitarz kościelny zniża swoje poświęcane ramiona do wijącego się koło nóg

prochu, podnosi go.

— Nie trzeba... proszę wstać...

— Więc pochowa ksiądz?

— A gdybym zażądał bardzo dużej sumy? Tu następują cyfry... —

Bajeczne!... Żona

zgadza się... Wprawdzie nie ma przy sobie tyle, ale przyniesie przed samym

pogrzebem... Pożyczy naturalnie...

Targi skończone...

Wdowa w poczuciu wdzięczności chwyta znowu księdza za rękę — całuje go.

Jednocześnie ksiądz spostrzega, że jest ładną... Urzędnicza suchość i pobożne

namaszczenie ustępują miejsca zalotności. W chciwcu zbudził się lubieżnik.

— Proszę... niech pani spocznie...

Rękę opiera ze współczuciem na jej ramieniu, otacza ją słodyczą pasterskiego

uśmiechu.

Pyta ją, czy mieliśmy dzieci?... Czy długo żyliśmy z sobą? czy nie zatrzymały jej

życia moje przekonania?

Lituje się nad nią, ubolewa.

Pytania przenoszą się na grunt praktyczny, wprost do zamierzonego celu. "Co będzie teraz robiła?... Czy

ma jakie oparcie? Jakie środki do życia? Czy nie pogardzi jego radami?" Żona jest mu za to nieskończenie wdzięczna. "On pierwszy zajął się jej wdowim losem...

Prawdziwy kapłan"...

Ręka rozpustnika radaby przejść z ramienia dalej — do piersi... na razie jednak

mimo sutanny księżej, mimo kapłańskiego nimbu, nie zdobywa się na tyle

bezczelności... Przyrzeka tylko sobie to na przyszłość — festina lente...

Przezieram ich oboje oczami na wskroś — widzę wszystko... Wiem, że gdybym żył,

rozpacz ręce załamałaby mi; wiem, że zazdrość i oburzenie popchnęłyby mnie do

zemsty — zbrodni może. — Teraz jest mi to obojętnym.

Wszystko mi jedno, czy ci dwoje splecą się kiedy w miłosny uścisk lub nie...

Patrzę na wszystko wystygłą piersią.

Nie zdolny już jestem do oburzeń i wybuchów; nie umiem zazdrościć, ani

przeklinać, pogardzać, ani jęczeć... To wszystko skończyło się tam — na strychu.

Jestem tylko pełen jakiejś nieobjętej litości. Żal mi tej wdowy, co ulepionemu

własnymi rękami bałwanowi ostatni grosz wtyka; żal mi tego rzezimieszka, co

pobożną obłudą musi wydzierać ludziom to, co inni pałką wydzierają; żal mi, że w

takiej nędzy ludzie dusze kąpią... Jak ja to widzę inaczej! — Jak mi ich żal...

I oto sunie mój pogrzeb ku Powązkom...

I za pogrzebem idzie tyle, a tyle rubli modlitwy...  
I udręczone krępakami form idą teatralne uprzej-

mości... męczą się i ziewają... a idą... "ostatnia posługa"...  
W krawatach białych idą za pogrzebem nekrologi, kroczą moje płatne  
i niepłatne  
biografie — ostatnia moja dekoracja — ostatnie figuranty...  
Zatarło kilku karetników ręce — "będzie może zarobek"...  
Stoi długi szereg zatrzymanych przez policję dorożek — "miejskie  
porządki"...  
Tłumy się niecierpliwą — "punkt o piątej płatne rewersy —  
odwłoka"...  
Wyjrzało jakieś dziewczę z tramwaju... Chciała wyczytać napis choć  
na jednym  
wieńcu i nie mogła... śledzi jeszcze oczyma pogrzeb... W duszę jej  
zapada jakieś  
przynębenie.  
I oto zabijanie gwoździami wieka — śpiewy ponure — ostatnie  
miserere, — trumnę  
piaskiem przysypano i wszystko już skończone...  
Byłem potrzebny jeszcze tłumom dwa, trzy dni po mojej śmierci —  
manifestowano na  
mnie całą swoją kulturę; wszystkie swoje wierzenia i przesady.  
Słuchajcie! — chwałą moje cnoty życiowe... "Wzór obywatela...  
tężyzna  
moralna"...  
Wysuwają na widownię najmarniejsze chwile mojego życia: mój  
pierwszy kompromis z  
dostawcami żywności, moje sposoby rozpychania łokciami  
głodniejszych, mój cały  
wstyd...  
I tłumy klaszczą...  
Chwiejniejsi szukają we mnie usprawiedliwienia siebie, beczynniejsi  
— narzucają  
siebie... I tylko nie

było mowy o tym, co było najwięcej mną, co mnie odgradzało od  
kupieckiej  
filozofji rynku i straganów...

Wiek zabite, — tłumy pośpieszyły na kolację... do żon i  
utrzymanek... do  
polityki i nowinek dziennikarskich... do rewersów i terminów,  
stosunków i  
protekcji.

Wiek zabite, — a ja, trup przysypany ziemią, wisielec na powrozie  
od bielizny,  
chodzę po mojej ziemi, po moim ukochaniu, po mojej Warszawie,  
gdzie tyle łez...  
i bólu... i udręki...

Przedzieram się przez mroki czarnych nocy, jak cień, i słucham...  
Pogarda,  
zbrodnie, bój!... To ludzie... O, gimnastycy cnót! Jak mi was żal...

\* \* \*

Ludzie! boję się, czym nie obłąkał wam fantazji i nie popsuł  
trzeźwości...

Miast wypudrowanych miłostek, oczom waszym otwierałem groby...

Czyliż pójdziecie  
za mną na te strychy i cmentarze?...

Chodźcie! nerwy wam popękają i zbieleją oczy... Chodźcie, uczynię  
was zdolnemi

do niespania choć jednej nocy w życiu...

O ludzie, ludzie! jakże z was zadrwiłem!...

SZCZURY.

Twarde, pogarbione bruki ulic warszawskich, huczące dorożek  
turkoty, plusk fali  
wiślanej o brzegi i czarne nietoperze ciemności za miastem —  
kocham je, jak się  
miłość kocha pierwszą, choć zdradziła; kocham je, jak smutek  
twórczości, jak  
natchnień ponurych moce...  
Gdyś głodny i nie masz gdzie głowy przytulić, gdy myśli do nędzy  
uwiązane, jak  
psy do łańcuchów, łańcuchy swe gryzą w bezsile — idź! słuchaj!...  
Syci odwracali się ode mnie i ze wzgardą, opiętą w surduty, uciekali;  
czołami  
miedzianemi płasali nademną ich kapłani i kramarze; wujowie i ciotki  
przez mgły  
szkieł zadymionych mój los obejrzeli i drzwi prze demną zamknęli —  
jedne bruki  
usłały mi łoże.  
Idź! słuchaj, jak pijak łbem stuknął o ziemię i w oczach ciekawej  
gawiedzi  
umiera; jak kobieta publiczna klątwami i miłością obdarza, jak noże  
się pławią w  
morderczych podskokach...  
Nie bój się ludzi, do których mord krwawy i kał wszelki przysycha, bo  
oni braćmi  
są twojami; nie lękaj się krwi i śmierci, bo one są dzieckiem  
człowieka; nie  
pyszniej się cnotą tchórzliwej sytości, bo ona te zbrodnie stworzyła...

Twarde pogarbione bruki ulic warszawskich...

.....  
Nie miałem paszportu ani pieniędzy. Nie miałem możliwości jadać, ani  
mieszkać;  
ubierać się, ani rozbierać; wypoczywać, ani pracować. Błąkałem się  
całymi nocami  
po ulicach, robiłem pośpiech i śpiżowość człowieka, który dąży przed  
się, w

puchy poduszek — z zaułka w zaułek — z zakrętu w zakręt. Nabrałem rutyny w oszukiwaniu policji, nie miałem jeszcze odwagi przyznać się do włóczegostwa — wstyd jakiś, próżność mną rządziły. Przywykły do mojej twarzy wszystkie ćmy miejskie i sowy — nikt i o nic nie pytał mnie, byłem im tak powszednim i obojętnym, jak bicie zegaru, lub turkot dorożki. I tak noc w noc po mieście chodziłem. — "Oto turkot dorożki idzie". Rankami na słońce szerokie uciekałem, wylegiwałem się nad brzegami Wisły, w ciepłym nagrzanym piasku mgłami ciało przesiąkłe suszyłem. Czasami szedłem za miasto do kolejowego dróżnika, któremu mój wąty tłómczek z bielizną na przechowanie oddałem, sprzedawałem handlarzowi resztki mej bielizny i biegłem do szynku... Teraz, gdy przeszłość chcę myślom pokazać, nie odwracam głowy za siebie, w oczy tylko własne zaglądam. I widzę w nich niebo ponure, dymami czarnymi zatkane, jak sadzą; i widzę bolesne twarze upiórów, rozsiane po norach karczemnych, i myśli oddarte od nieba nazawsze i w walkach o strawę codzienną pogięte. Ogród Saski w zaduchu i gorącawie kamieni omdle-

wa, pod drzewa skąpym cieniem upiór człowieka drzemie... Czasami oczy do góry podniesie i wałęsa się niemi bezbarwnie po twarzach przechodniów — już znużył się, już w drzemkę zapada... Ogród zamykają — upiór od formalności policyjnych ucieka — na komedję włóczęgi — na maskaradę życia...



.....  
Ostre miał rysy i bruzdy zmarszczek głębokich. Wiły mu się po  
twarzy, jak węże i  
źmije; wiązały w kłębki, jak przyczajone jaszczurki; wyskakiwały aż  
na szyję...  
Tak życie rozsiało na nim pochodni niszczącego znaki, tak oczy mu  
zagasiło, tak  
kark mu zgięło ku ziemi... Mógł być potworem, odstraszającym matki  
od rodzenia  
dzieci dla nędz życia, a był dróżnikiem kolejowym... Nie znałem go,  
anim go  
widział kiedy... Wszedłem do jego budki — zadrzałem... Nie zdziwił  
się memu  
przybyciu, fajkę pykał spokojnie...  
— Można tu ten tłómczek pozostawić? Obejrzał mnie, głową tylko  
kiwnął.  
Nie pytał mnie, skąd przychodzę, nie badał o nic...  
— Ja tu przyjdę — rzekłem. Znowu kiwnął głową...  
I ilekroć przychodziłem do niego, zawsze tensam spokój go otaczał,  
milczenie  
bratem mu było. Nieraz oczyma przymrużonemi szukał czegoś na  
mojej twarzy, ale  
zawsze z ciszą człowieka malutkiego, jakby tylko rys jakiś ze mnie  
wyjmował i w  
pamięci notował.

— Dlaczego pan mnie nie pytasz, kto jestem? — spytałem razu  
pewnego. — A mozem  
ja złodziej i kradzione rzeczy znoszę, a może chcę chwilę wypatrzeć i  
zabić  
pana...  
— Et! Machnął ręką.  
— A jeśli policja przyjdzie i spyta: czyja to bielizna? Co pan  
odpowiesz?  
Wzruszył ramionami tylko. Wydało mu się może, że próżno słowami  
szafuję — tak

dziwnie patrzył na mnie.

Innym razem, gdy koszulę z tłomoczka wyjąłem, zapytał:

— To już ostatnia?...

— Nie, jeszcze jedna została.

— A co później będzie?

— Później?!... Wyląknę się.

— Później, później... — powtarzałem bezwiednie. Czułem się

przyłapanym na

tchórzostwie przed tym,

co ma nastąpić... Zawstydzilem się...

— Eh, co będzie, to będzie — rzekłem. — Napisałem zresztą list do

ojca, żeby mi

paszport przysłał.

— A to jest ojciec? — spytał...

— Jest — odparłem...

Przymrużył oczy, jakby zapisując wygląd młodzieńca, co ojca ma, a

bieliznę

sprzedaje.

Pogięły mu się zmarszczki, wszystkie brózdki na twarzy zaskakały...

Sięgnął do

kosza, jakąś butelczynę wyjął...

— Może wódki kieliszek?...

— Nie! — rzekłem — dziękuję.

— Nie? wiedziałem, że nie...

Splunął przez zęby i owinał się kłębem dymu fajczanego.

.....

Mrok na spotkanie moje wyszedł złowróźbny, groźny... Z za brzegów

błękitu

wysuwały się ciężkie, bezkształtne potwory chmur i przewijając się z

warkliwym

pomrukiem, rozwieszały swe cielska nad ziemią — zagadką ponurą...

Z trwogą szedłem na codzienną włóczęgę.

Od trzech dni już spostrzegłem był przytym, że jestem śledzony...

Jakaś

karjatyda ludzka, zapięta na wszystkie guziki, włóczyła się za mną  
noc w noc i  
kroki moje notowała...  
— Szpicel, szpicel, szpicel — krzyczałem w sobie. — Przyjdzie i  
zaaresztuje.  
Zapyta o paszport i zaprowadzi do kozy. Zamkną, pozbawią wolności!  
Bałem się...  
Karjatyda, zda się, rozwijała cały system dręczenia mnie. Był to nikły,  
wiotki  
człowieczek — ot! szczur nocny... Jedne oczy tylko pamiętam —  
jakieś mętne,  
popielate... Tak szukał niemi, tak badał... Tylko jakaś trwoga zawsze  
go  
odpędzała ode mnie... Spojrzy mi w oczy chyłkiem i spłoszy się...  
Smagnie  
ciekawością natrętną i ucieka oczami w siebie... Szczur nocny bał się  
mego  
wzroku... Bał się — ale śledził... Wolnej chwili od niego przez trzy  
dni nie  
miałem. Rozparł się trwogą na myślach i nękał...

— Nie zdybiesz, nie przyłapiesz, szczurze! — zgrzytałem zębami.  
Uciekałem w najdalszy koniec miasta... Wtym kroki czyjeś... Z  
zakrętu ulicy  
wynurzały się popielate oczy...  
— Czy i dziś go spotkam? — myślałem, idąc od dróżnika.  
Przyśpieszałem kroku, bo zdało mi się, że cała gromada tych ciężkich  
chmur  
spadnie mi z łoskotem miażdżącym na głowę.  
— Byle do miasta...  
Nareszcie... Zakroczymska... A później Freta... A później Stare  
Miasto... A  
później plac Zamkowy, i dalej, i dalej... Układałem w myśli plan ulic,  
którymi  
iść miałem przez całą noc.

Wtym wiatr mi zdmuchnął kapelusz z głowy i rzucił go na ulicę...  
Pobiegłem  
zatrzymać go i spostrzegłem, że dużo takich kapeluszy tarza się po  
ziemi i  
ucieka. Sprawilo mi to rozkosz... Z rękami naprzód podanemi ludzie  
biegli, a  
wiatr odrzucał od nich kapelusze i śmiał się... Mogłem biec z niemi,  
koło nich,  
za niemi i nie bać się oczów śledzących. Cel miałem — "Człowiek, za  
kapeluszem  
goniący" ...  
— Tańcz, wicherze, tańcz! Śmiałem się, gdy kapelusze sfruwały, jak  
ptaki, kręciły  
się kołem, uciekały, jakby upojone biegiem własnym. I wszystko, co  
było na  
ulicach, bieгло i uciekało, co sił, co tchu w piersiach — ludzie,  
dorożki...  
Nagle załoskotała ulewa...  
Wpadłem do jakiejś sieni. Tłumem różnofarbnym była zapchana, jak  
hale targowe.

Skrętnie przeszukałem oczami po wszystkich obecnych. Szczura  
nocnego nie  
było... Jak dźwięki melodji kojącej, rozlewało się we mnie pieściwe,  
słodkie  
upojenie. "Wolno mi stać na miejscu. Wolno mi gnuśnym okiem  
bezmyślności patrzeć  
niedbale w rozziwane tłumy. Wolno mi nawet zdrzemnąć się i nie  
ściągnąć na  
siebie podejrzanej czujności oficjalnych asekuratorów praw. Wolno  
mi nie biec,  
nie uciekać, nie kryć się długo, bardzo długo, dopóki burza łomotać  
będzie, póki  
nie zamrze ulewa",  
— Błogosławię cię, burzo piorunna! Jak kochanka wszechmocna,  
oparłaś się na moim

czole. Szarp ziemię pazurami, drzyj, skowycz, burzo! A ulewę  
rozsiewaj, jak  
słowo dobre, od którego się serce raduje. Nogi mi spuchły od  
chodzenia i dreszcz  
chłodu mnie oplótł... Wypocząć daj, burzo! Otul oddechami  
ciepłomięsnego  
tłumu...  
Jakiś student jakiejś pannie o najmodniejszej aktorce opowiadał.  
Jakieś sapiące  
ciało, do befsztyku podobne, paliło swoje długie cygaro i urągało  
burzy... Ktoś  
śmiał się... Ktoś szeptał... Dwa złote dziewczątka jaśniały bladością  
szat, jak  
duże, białe motyle. Bezwiednie lubieżnymi tony wyginały się, jak  
trzcinki, i  
suknie trzymały podkasane, choć tego nie było potrzeba... Błękitniały  
pończoszki, w których topił się żar... Buchnęło na mnie płomieniem...  
Drżałem  
jeszcze od zimna... Zapragnąłem ogrzać się przy tych ciałach złotych,  
przy tym  
cieple motylim.  
Zanurzyłem się nieznacznie w tłum, łokciami mrowisko rozgarnąłem i  
wypłynąłem  
przy białych moty-

lach. Całym ramieniem oparłem się o jasną dziewczynę, runąłem  
niemal na jej  
piers. Ta grabież jej ciepła, nasyciła mnie złodziejską rozkoszą.  
Oczami  
niepatrzącemi spostrzegłem, jak włamywała się we mnie ostremi  
łokciami  
czujności. Widziałem później, jak wzrok jej oddziera się ode mnie z  
niesmakiem.  
Ustąpić chciała — ciasno było... Wtedy cofnąłem się poza nią i w  
ramieniu jej

utopiłem jeden gorący pocałunek — pieczęć mej nędzy  
wszechstronnej. Ona drgnęła  
i rękę odrzuciła za siebie gorącą. Myślałem, że rąk moich szuka.  
Porwałem dłoń  
jej, uściśnąłem prędko... Lecz ona wydarła ją błyskawicznie z mej  
łapy, sięgnęła  
do kieszeni, i wyjmując woreczek z pieniędzmi, ścisnęła go oburącz w  
przerażeniu. W jednej chwili otwarła się przedemną czarna przepaść  
sztywnej  
prawdy. Jasna dziewczyna brała mnie za złodzieja kieszonkowego.  
Wstyd mi do  
oczów przyskoczył, jak pies, i szczyrzył kły ostre. Przedarłem się  
brutalnie  
przez tłum i usiadłem na schodkach korytarza.  
Myślami pogarbionymi włóczęgi zacząłem oceniać cały ten wypadek.  
Poczułem urazę  
do dziewczyny, że mi krzywdę uczyniła. A później niechęcią się  
smagałem, że to  
ja jej krzywdę uczyniłem. A później szło bolesne przeświadczenie, że  
krzywda  
poza nami tkwiła. Doszedłem wreszcie do wynalazku, że żadnej  
krzywdy nie było, i  
ból nie było, i dramatu nie było... Wynurzał się tylko z grubych  
mgieł życia  
ten codzienny komizm, który wyciska łzy lub trzyma batutę śmiechu,  
— ta  
przypadkowość ślepych zdarzeń; to nic, od którego pęka dusza, lub  
oczy weselem  
promienieją.

Siedziałem na schodach nieznajomego domu i myślałem o złotej  
nieznajomej  
dziewczynie. Głuchła już burza i niemiałły grzmoty — chodził tylko  
po mieście  
uparty deszcz.  
— Chodźmy, Bronka!

— Chodźmy!...

Wdarło się na chwilę we mnie to imię, przeszło hukiem jakiejś obawy, ale spostrzegłem jednocześnie, że ludzie się już rozchodzą, — zamykano kamienicę — wyszedłem.

.....

Kto tam na rozplakanych się zawiesił chmurach i te szeptu rozrzuca?

Złe niebo,

złe!... Na prawo, włóczęgo, bo cię stróż nocny spostrzeże. W ten zakręt! W ten

nieubłaganie zimny płacz deszczu! Djabła się nie boisz, a kaszkiet policjanta

cię trwoży. Na prawo, włóczęgo! — na prawo. A teraz kroki pośpiesznie skieruj

przed siebie, bo cię ktoś ściga... A teraz na lewo — a teraz na lewo...

Marsz —

marsz!

Już przeszedł, już cicho... Odpocznij, włóczęgo!...

Oparłem się o mury zimnej kamienicy i myśli zmęczone włóczyłem po sennych

ciszach miasta. Błede latarnie patrzyły w głąbię mojej apatji, a deszcz szedł

równo i nienawistnie, jak człowiek, który zaprzysiągł zemstę...

Powieki raz po

raz do snu mi opadały i chwiały się nogi, nie mogąc utrzymać ciężaru zmęczenia.

Wyteżałem tedy resztki świadomości i ciała czuwanie nakazywałem.

— Nie śpij!

Przyciskałem się mocno do muru i patrzyłem, jak

miasto co chwila ucieka mi z przed oczu, skacze w konwulsjach szalonych i w

blaskach latarni się trzęsie... Zadygotało we wszystkich posadach kamiennych,

wyskoczył potwór z pod ziemi i zastukał twardymi brukami — zbliża się do mnie,  
leci...

Drgnęły przerażone źrenice, uciekać chciałem — za późno było...

Szczur nocny

patrzył już we mnie swojemi popielatemi oczami... Wyminął mnie, a jeszcze głowę odwracał...

Odskoczyłem tedy od ściany i postanowiłem go siepnąć oczyma...

Pobiegłem,

wyminąłem go, stanąłem. Zwolnił kroku, obejrzał się i przeszedł na drugą stronę

ulicy.

Tak pies słabszy obejrzy kły psa mocniejszego, cofnie się i ze stulonym ogonem

ucieka. Ta kombinacja psów podnieciła mi wtedy wyobraźnię — napastniczość w sobie poczułem.

— Za psem, za słabym psem, za psem parszywym...

Zaczęła się jakaś straszna gonitwa latającymi zygzakami na prawo i na lewo — z

jednej strony ulicy na drugą — szczur nocny ogląda się, spostrzega mnie i

biegnie — coraz hyżej, coraz zapamiętałej — ja za nim, ja ciągle za nim...

Wydzierają się nasze kroki naprzód, zataczają koła po ulicy, stukają, bębnią.

Uszy tego bębnienia pełne niosę, słyszę, jak w takt uciekających zygzaków wygina

się cała ulica, pęka i rozłamuje na cząstki...

Podskoczyło wszystko, zamigotało w oczach, zwichrzyło się... Z zakrętu jakiś

człowiek wybiegł... Jeden

skok tygrysi... Zwinął się i zlał ze szczurem nocnym w jedną plamę czarną...



Zabłyszczało coś...

— Masz Bronkę! Masz Bronkę!

Oderwali się od siebie... Napastnik zaczął uciekać...

Widziałem, jak szczur nocny z nożem w piersi wbitym biegnie na oślepe — ręce

wyciągnięte przed się — w krwi broczy cały. Niby jakieś zwierzę z głową uciętą,

niby trup z prosektorjum uciekający.

Zachwiał się, głową o ziemię grzotnął — tylko chrapnięcie jedno — tylko

słysząc, jak nóż się wpycha w jego ciało głębiej.

Zbrodniarz uciekał co sił... W pewnej chwili spostrzegłem, jak mu coś wypada z

kieszeni... Nachyliłem się... paszport... Jan Szczur... Nowa kombinacja wrażeń... Zdawało mi się, że sam Lucyper wypisał to nazwisko, aby mi potargać

umysł i rzucić w otchłań wiecznie zasłaniającej się przed życiem niemocy.

— Jan Szczur zabił szczura nocnego... Jan Szczur... Jan Szczur...

Czemu tamten

bał się mojego wzroku, a nie bał się szpiegować? Czemu?

A teraz już wiem, że on nocami śmierci swojej szukał i w oczach moich badał, czy

go zbawię życia?...

.....

W pierwszej chwili chciałem skorzystać ze znalezionej paszportu.

Wkrótce

spostrzegłem jednak całą groźbę niebezpieczeństwa. Postanowiłem tylko odnaleźć

zbrodniarza. "Paszport mam w kieszeni — tym łatwiej będzie... "

Nie przyświecała mi zresztą żadna wybitna idea. Odnajdę go, rękę mu na ramieniu

oprę i powiem: tyś

zabił. Nie będę nawet słuchał odpowiedzi. Spojrzenie jego będzie mi całą

odpowiedzią. Rzucę mu te wyrazy w przerażone oczy, jak strzał  
rewolwerowy w  
serce, i odejdę. Co on czuć wtedy będzie! co on czuć będzie!...  
— A wiesz pan, szczur nocny zmartwychwstał. I to mu jeszcze  
dorzucić mogę.  
Męcz się, dręcz, zbrodniarzu! Układaj twarde kark pod ciężar  
życiowego fatum.  
Męście się wszyscy. I ty, kobieto, którą prostytutka rozpięła na  
krzyżu swej  
Sodomy. I ty, dziecię wątłe, co nieświadomym płaczem szlochasz do  
Edenu chuci. I  
ty, blade mistrzu słowa, co nosisz w sobie piekła wszystkich piekieł...  
I ty...  
I ty... I ty... Męście się wszyscy! Dopóki nie poznacie hańby  
waszych kajdan...  
Dopóki nie umrzecie w tym, co nie jest wami. Dopóki waszej duszy  
nie dotkniecie  
ręką, jak dzisiaj ciała dotykacie... Męście się!...  
Lub nie! nie męście się... I niech się nikt nie dręczy... Ni ten, co zabił  
szczura nocnego, ni ta, co aniołowi przysięgała, a uciekała do łóżka  
szatana, ni  
ten, co jadę wasze moce truże... Nie męście się!...  
Odnajdę oto zbrodniarza i pocałunek mu na czole złożę.  
— Tyś zabił...  
Widzę, jak wszystkie czucia w nim się chwieją, niby dalekie echa  
huraganów.  
Biorę jego serce w dłonie, jak białą gołębicę.  
— Tyś zabił...  
Zacząłem skrętnie szukać. Chodziłem przez parę dni od domu do  
domu. Czytałem  
listy lokatorów. Zda-

wało mi się, że go muszę znaleźć. Naraz zatrwożyła mnie nagła  
obawa.

— Co będzie, jeżeli policja znajdzie przy mnie ten paszport?  
Uczułem konieczność pozbycia się fatalnego dokumentu.

Poszedłem nad Wisłę i szukałem miejsca, gdzieby go rzucić, zgubić nieznacznie.

Ale ludzkie wszędzie czuwające oczy wtykały się we mnie co chwila, jak natrętny, upalny dzień.

Musiałem iść dalej, coraz dalej od miasta.

Okolica była już samotna, nieobecnością człowieka szczęśliwa. Tu tylko nocami

grały fale i gęźbiły dla tych, którzy domów nie mieli. Tu czasem zasypiał

spokojnie człowiek, ścigany przez gończe psy prawodawców.

Obejrzałem się...

Nikogo!...

Położyłem się w piasku i, układając się niby wygodniej, starałem się zlekka

wysunąć paszport z kieszeni. Wkrótce mi się to udało. Zdawało mi się, że sama

cisza tego nie słyszy.

Ale kiedym wstał na nogi i zamierzałem wracać, usłyszałem za sobą głos.

Chłopak jakiś podniósł się z za krzaka i wołał:

— Panie, panie! coś pan zgubił.

Pobiegł i podnosząc przekłety papier, oddawał mi go.

— O! paszport — mówił.

— A tak... tak... — bąkałem wykręcającymi się na pięcie słowami — paszport...

zgubiłem. Dziękuję, bardzo dziękuję.

Uszedłem kilka kroków i naraz poczułem nienawiść do chłopca. "Jak on śmiał? Jak

śmiał?"

— Obić szelmę, włosy ze łba powyrywać. Kipiało wszystko we mnie.

Zatrzymałem

się.

— Hej, chłopcze!

— A co?

— Chodź no tu.

— A po co?

— Chodź, chodź, dziecko, nie bój się!... Zbliżył się...

Chwyciłem go wtedy mocno za rękę i wyszeptałem nad samym uchem:

— A ty łotrze, co tutaj robisz? Na złodziejstwo się już puszczasz.

Pewnie nie

jedną kieszeń masz już na sumieniu. Wziąć tylko takiego i utopić. O tak,

o tak, gałganie!

Otaczałem go obu ramionami i nie wiem: pewnie rzuciłbym go w wodę.

Ale on wykręcił się zwinnie, jak małpa, i wydarł się.

Za chwilę był już za swoim krzakiem i rzucał na mnie kamieniami.

Zacząłem

uciekać.

Nocą dopiero poszedłem znowu nad Wisłę i owijając paszportem duży kamień,

włożyłem go ostrożną ręką do wody. Odebrała mi go fala łakoma, połknęła

i uciekła.

W plusku wód utonęła jeszcze jedna tajemnica — kto ją tam wydrze?

Przysłano mi wreszcie mój własny paszport. Za parę złotych,

otrzymanych ze

sprzedaży ostatniej koszuli, zadatkowałem "kunt przy famielji" i zamieszkałem.

Zdobyłem odrazu tysiące prerogatyw w zakresie policyjno-prawnym, adres i

legitymacje, dach i barłóg. Kupiłem po cenie głodowo-suterenowej kilkanaście

nocy snu, podwyższyłem moją wartość społeczną o osobisty

meldunek. Mieszkali ze

mną jacyś inni ludzie — co noc słyszałem ich chrapiące ciała —

przychodzili nocą

i rankiem szli dokądś — i nie wiem, co za jedni byli, i nie pytałem o to. Z

przeciwnej strony ulicy jakiś szynczek brudny przyglądał się mieszkaniu memu

zdaleka. Wchodzili i wychodzili ludzie — pijani, podnieceni. To — podrapani przez życie.

Jednak zacząłem im zazdrościć. Zazdrościłem im tej stawy mizernej, którą

zajadali za stołami, zazdrościłem im wódki, która obrywała w nich wszystkie kwiaty myśli.

Głód chodził za mną, jak zły przyjaciel, brudził mi świat cały, ukazywał ręką na przeciwną stronę ulicy, jak szatan.

— Wódki, wódki się napij.

Wyschnięta i pokurczona myśl zaczęła snuć jakieś szynkowe fantazje, jakieś

orgje smacznych niewyczerpanych jedzeń. Napełnia się misa po misie, pławią się w

nich wszyscy trędowaci i zgangrenowani, a ja ich odpycham, nogami w parchy kopię i jem, żrę, chłepcę.

Poszedłem do szynku.

— Wódki — krzyknąłem.

Siadłem przy samotnym stoliku i piłem.

Zęby skakały po włóknach jakiegoś zeschłego mięsa, alkohol nerwy puścił w tan...

Pod stołem djabeł usiadł i... grał... i... grał...

Nagle przypomniałem sobie, że nie mam pieniędzy.

Myślą leniwą zacząłem szukać rady zbawczej... Chciałem uciec...

Lecz wtedy

spozstrzegłem przy sąsiednim stoliku paru ludzi. Wódka oczy już im zatkała, a

odsłoniła dusze; jeden ręką mocną w piersi się uderzał i skarżył się drugiemu...

Stary, odwieczny temat: zdradziła go kochanka... Zdradziła przedtym męża dla

niego, zdradziła potym jego... Zdrada, zdrada, zdrada. Więc trzeba teraz zemsty.

Niech ją po nocach dławi strach. List, list napisać...

— Kto mi napisze? — wołał — kto tę całą kołowaciznę wyjmie ze mnie i na papierek

wsadzi. Ot — nie potrafię.

Zrodziła się we mnie błyskawiczna idea. Podniosłem się.

— Panie! ja panu napiszę. Podeptać, smagnąć batem po ślepiach. Czy tak?

Patrzył na mnie z zachwytem.

— A i o tym, że wiem wszystko... że przedtym sześciu miała...

— I o tym, panie, i o tym.

— A i o tym — ciągnął — żeby się miała na baczości, bo wszystko mężowi opowiem.

— Nie, panie! nie o tym. Napiszę, że pan jej dziękujesz za parę chwil rozkoszy.

Odchodzisz pan od niej z życzeniem dobrego zdrowia i tuzina dzieci.

Plujesz jej

pan w oczy za to, że mogła w pańską miłość

uwierzyć. Masz pan inną i z drzeniem szczęścia w ramiona tamtej odchodzisz.

Rzucasz pan zresztą pogardę na ten cały ród gadzini, który tylko od dobrych

rzeczy odciaga. Ulegasz im pan tylko z litości i wyświadczasz łaskę... dla

wrażeń, dla zabawki.

Zacząłem pisać list... Zdawało mi się, że to ja sam mam tę kochankę zdradziecką.

Przewijały się koło niej niezliczone szeregi kochanków — klęczeli wszyscy i

duszę jej pod stopy rzucali, a ona deptała po nich, jak po liściach —  
słysząc  
było szelest niemilkący. Stopami o ziemię uderzyła, rozfrunęły się  
liście  
wiednące i poszły jękliwie z wiatrem.  
Natenczas przyszło do mnie ni to wspomnienie miłości dziecinnej, ni  
to  
przecucie przyszłej kochanki, którą się zaledwie w snach odgaduje.  
Oczy miała  
płomienne, a wichry włosów hebanowych spadały na szyję, jak  
górskie potoki...  
Wołała mnie do siebie, wiedziałem, że upaść przed nią muszę, a usta  
jej  
rozchyłały się już do uśmiechu wykrzywionego w drwinę.  
Pisałem list... Słyszałem, jak pióro skrzypi po papierze. Myśli moje  
zaczęły się  
niby obrywać... Czulem w sobie jakby jakiś krzyk, jakby trzask drzwi,  
wylatujących z zawias. Łzy duże spadały mi na papier, jak toczony  
kamień. Żal  
głuchy mną szarpał nad tą jedyną, nad tą przekłętą. Z ironji, z  
niesmacznych  
żarcików przeszedłem do płomiennych pieszczot. Błagałem, aby nie  
zapominała o  
mnie, aby mnie w niepamięci nie pogrzebała.  
List kochankowi zdradzonemu przeczytałem... Patrzył na mnie,  
patrzył, słowa  
wymówić nie umiał...

— No, podpisz pan — rzekłem. Machnął ręką.

— Et, sam już mnie pan podpisuj.

— Dobrze... — odparłem. — Nazwisko?

— Szczur...

Spojrzałem nań wylękły, szukałem w jego oczach tej nocy strasznej...

— Jakto? Szczur? — tak?...

— Szczur... Poprostu: Szczur...

— A więc Jan Szczur?...

— Nie! Stanisław Szczur.

— Więc nie Jan?

Zaczął się śmiać tym pijanym śmiechem, co o każdy nerw zawadza,  
jak zepsuty  
klawisz.

— Już ja wiem teraz — mówił. — Pan znasz mego brata. Jan mu na  
imię. Z twarzy do  
mnie podobny, prawda?

— Z twarzy? To dziwne... Tamten chyba bez twarzy... Zresztą wysoki  
taki... tak,  
tak...

— Ej, szczęście też nasze — mówił z żalem — ja jeden taki, pan  
myślisz? — I on  
toż samo... Tak owinie człowieka, tak oplącze... Śmieje się z niego, a  
on

"droga, jedyna". Czasem jak warjat, "jabym zabijał dla niej  
wszystkich". "Bij,

zabij" — myślę — "a serca już nie odbijesz od niej". I teraz go  
napadło... Tylko

cóż? Publiczna... A z miny to niby nic... A ładne to... a zalotne... Ot  
jakby i  
moja.

Spochmurniał...

— Taka ta jego Bronka!...

— Bronka, Bronka... — wyszeptalem.

Wspomnienie jasnej dziewczyny przesunęło się przed memi oczami,  
jak cichy  
tajemniczy cień.

— Cóżes pan tak się zdziwił? — zapytał.

— Nic, nic... Bronka... Oczy ma takie błękitne i do wielkiego motyla  
podobna?

— Może i do motyla — odparł zdumiony.

— Ramiona okrągłe, a gibka cała jak trzcina?

— Może... może i trzcina.

— A kiedy spojrzy, to niby niebo przyrzeka, a pilnuje portmonety.



Zacząłem się śmiać...

On nachylił się nade mną i wyszeptał:

— No, przyznaj się pan, i pana z rozumu obrała?

— Nie panie, przenigdy. Pijany jestem i po myślach pająki mi skaczą.

Widziałeś

pan kiedy takiego pająka? Przędzie, przędzie niteczkę cieniuchną i z każdej

myśli powróz do wieszania uprzedzie... Zapłacisz pan jeszcze piwo?

— Hej, piwa! — krzyczał. Piliśmy do późnej nocy.

Dzień ten wpłynął decydująco na moje losy. Byłem na pewien czas zabezpieczony od

śmierci głodowej. Zostałem pisarzem listów miłosnych...

Codzień odtąd przychodziły do mnie jakieś smutne dziewczyny, jakieś wdowy

żałosne, jakieś ludzkie upiory — z podbitymi oczami tęsknot, — z zaciśniętymi

pięściami szału i zazdrości. Skarżyły się mękami ciał pożądlivych, krzyczały

płaczem bezbronnych bydła, odkrywały mi burze swoich pragnień, słoty i wichry,

gromy i słońca...

Rozbudził się we mnie wirtuoz.

Smutny siadałem w szynku nad otwartą księgą dusz ludzkich — w tyle listów je

przepisywałem. Za szynkiem wyniosłość i dumę po mieście roznosiłem, czasem

spotkałem jakiegoś przyjaciela z lat dzieciennych, zajętego wołaniem karjery, —

kopnąłem go nogą, i to był mój koncert.

.....

Był dzień ponury, co oczy od ludzkich twarzy odrzuca, jak od starych wyblakłych

malowideł, których się nie lubi, a które bolą ciągłą obecnością.

Siedziałem w

szynku i przez brudne zasepione okna przyglądałem się bezmyślnie  
życiu, idącemu  
z pośpiechem obcasów w czarne, zadymione nory szarych trosk.  
Nagle ruch niezwykły... Powstało jakieś zbiegowisko... Śmiech  
zadowolonej  
ciekawości ulicznej gawiedzi wpadał aż do szynkowni. Podnieśli się  
ociężali  
pijacy od stolików, zaczęli wychylać głowy przez drzwi..  
— A to jej elegancje ze łba ściąga — śmiał się jeden.  
— Prawda, aż piórka lecą z kapelusza — mówił drugi.  
— Ha, ha! Bronka... — krzyknął radośnie inny. — Znowu się  
biedactwo z  
ojczaszkiem spotkała.  
Pobiegłem do okna...  
Po ulicy, wśród rozśmianego tłumu uciekała blada, pijana  
przerażeniem Bronka. Za  
nią gonił dróżnik. Z głowy zdierał jej kapelusz i szarpiąc go w  
drobne okruchy,  
rzucał poza siebie.  
Wydarł jej później parasolkę z ręki i łamiąc ją

z furją, ciskał kawałki na głowę dziewczyny. Ona osłaniała się ręką,  
pędząc  
przed siebie na oślep, jak obłąkana.  
— Daj mi ojciec spokój! — wołała.  
— Dam ci, suko, dam...  
Wtym przybyła dziewczynie nieprzewidziana obrona. Jakiś  
młodzieniec barczysty  
stanął między nią a ojcem, uchwycił dróżnika za ramię i zatrzymał na  
miejscu.  
Snać celu w tym nie miał żadnego, ot — dla komizmu to czynił. "Cóż,  
podoba się  
wam mój dowcip?" — mówiły jego oczy.  
— Czego pan chcesz? — krzyczał dróżnik. Młodzieniec roześmiał się  
i mówił:

— A czego ja mogę chcieć od pana? Nie znam pana, na oczy nigdy nie widziałem.

— No to pan puść do milion djabłów.

— Właściwie to i puścić mogę. Szczęśliwej podróży.

Dróżnik pobiegł z pośpiechem, ale Bronka zdążyła już umknąć. Długi, niewstrzymany śmiech tłumu zatrzęsł się na ulicy.

Gdym w dwa dni później był u dróżnika, przyjął mnie z pykającym fajkę spokojem —

nie unikał mych oczów, ale wymijał je jakby od niechcenia. A mnie to nowe

odkrycie, że on jest ojcem Bronki, zapaliło wyobraźnię; zdało mi się, że trzymam

w rękach jakąś tajemnicę, która odsłoni mi całe obszary prawd, — odkryje może

całą zagadkę jakiejś nowej, nieznanej tragiedji.

Zacząłem się czaić i przycupywać około jego myśli,

jak kot; rzucałem mu na przynętę nic nie znaczące słówka — siłą, przemocą

postanowiłem wydrzeć z niego wyznanie.

Zniecierpliwiłem się wreszcie i spytałem niezgrabnie:

— Pan ma rodzinę?

— Albo co? — spytał.

— Nic... ciekawość... — odparłem.

— Interes masz pan w tym jaki?

— E, nie! tak tylko...

— To po co się pytać?

Odtąd z nieufnością patrzył na mnie.

Zaczęło mnie to wszystko dręczyć... Dróżnik, szczur nocny, Bronka, jakieś

rozpalone czerwienie majaków nad głową — tak życie mi się jawiło naówczas.

— Słuchaj! tyż to? — pytałem — ty, potworne? ty, obluzgane krwią, a do mąk

przybite?... Skazę śmierci nosisz na czole, jak sztandar tryumfalny, a pachniesz

kwiatami. Gdzie twój rozum promienny? Dusisz się w zaułkach nędzy  
i dzwonisz  
kajdanami żądz. Nienawidzę cię. Bolisz mnie a pchasz w pragnienia i  
zapachy  
nadziei. Chcę je porwać, podeptać, lecz ukaż mi twarz swoją pełną  
ohydy, ale bez  
osłony. Wpatrz się we mnie, przeraż mnie nagością, abym mógł  
śmierć ukochać, jak  
kochankę. Nie ulęknię się: pełen mocy idę na twoje spotkanie... Życie,  
Życie!...  
A Życie szło koło mnie, jak zły przyjaciel, trupy mi pod nogi  
układało.

.....  
Cicha, tajemna zagadka... Tam, nad Wisłą... Dwa trupy... Szczur i  
Bronka...

Związani byli oboje dokoła bioder — snąc w szale miłosnym rzucili  
się nadzdy do  
wody...  
Leżały teraz opuchłe ich ciała na piasku i martwymi oczami patrzyły  
w słońce.  
Splątanymi rękami przyciskały jeszcze do siebie sine napęczniałe  
twarze, potęgą  
ich brzydoty ukazując całą parodię życia. Dwoje zwarjowanych  
kochanków, dwa  
szpetne, cuchnące ciała. Śpij, boska miłości!...  
Zbudziło się we mnie uczucie litości i żalu.  
Przypomniało mi się, że po te ciała biedne, wczoraj jeszcze muzyką  
życia  
tętniące, przyjdą najemni oprawcy prosektoryjni, pokraja je nożami i  
rzucą do  
ziemi... "I rzucą, i rzucą" — jęczało we mnie...  
Nagle trwoga blada oczy mi przerażeniem pobieliała. Zasnęły się  
potępieńcze mary.  
— A co będzie, jeżeli trupy czuć będą każdą popełnioną nad nimi  
przemoc?

— O trupy, trupy sine; — łkałem — nieskończony nigdy pochód  
waszych cierpień...  
Siadłem przy topielcach i, patrząc w ich twarze, słuchałem, jak wstaje  
we mnie  
bolesny, skurczony spazm jakiejś obłąkanej pieśni... Zaduszki mojej  
duszy...  
— Tam Wisła gra i słońce parzy... To śmierci chłód...  
Zaszepleniło koło mnie grobową lubieżnością... Zdało się, zaszeptały  
trupy. A to  
wiatr ziarnami piasku poruszył i strzepnął je niby ciche deszcze na  
twarze  
kochanków... W usta otwarte, w oczy wciskał im się ten piasek, jak  
zły, jak  
występny, jak przeklęty brud.  
W tej chwili odrętwiała świadomością, jakby tylko

odgłosem własnej duszy, spostrzegłem, że ktoś rzuca na mnie  
kamieniami.  
Obejrzałem się — z za krzaka mierzył we mnie z uśmiechem szatana  
chłopak,  
którego kiedyś chciałem utopić.  
Zacząłem biec ku miastu.  
A za mną, jakby orszak towarzyszków wiernych, wydarły się ze  
zwichrzonemi włosami  
wspomnienia; biegły, jak furje, pokłapując zębami; pod nogi mi się  
kładały, jak  
szczenięta.  
Z poza ramion każdego drzewa, z za skrzydeł mroku, który rozrzucał  
swą przędzę  
nad ziemią, wychylały się straszne popielate oczy nocnego szczura.  
Stał z wbitym żelazem w piersi, jak ponury polski krajobraz z  
drewnianą męką  
Zbawiciela.  
.....  
Siedział na ławie przy budce i słuchał szeptów mroku. Nieprzytomne  
oczy jego

skowyczały bólem, jak dwa uwięzione orły. Był pijany...  
Gdym stanął przed nim, patrzył we mnie ze skupieniem, jakby  
przywołując na pomoc  
myśli zabłąkane w dalekiej podróży.  
Nie poznał mnie... Wziął mnie widocznie za jakieś przywidzenie,  
którego nie  
lubią oczy, lecz do którego przywyka myśl, jak do codziennej zmory.  
Słowa przylepiały mu się do ust i wychodziły twarde i niezgrabne, jak  
źle  
obmyślane pomysły niedołęznego artysty.  
— Aha, przyszedłeś, — mówił pijaną, łamiącą się

na kawałki, szeptaniną. — No, no... e... Jak się tylko napiję, zawsze  
któryś z  
was przyjdzie.

— Dobrze, dobrze... — mówił po chwili — co twoje, to pilnuj... Poco  
tylko tych

małych rozsyłasz?... Ot! już zajechał...

Wyciągnął przed siebie rękę i niby coś chwytął w powietrzu.

— Małe takie, a dokuczliwe... Chyba te djabełeczki z małych dzieci...  
Co?

prawda?

Trącił mnie łokciem i twarz niemal na ramieniu oparł.

— No gadajże! Może niechrzczone bękarty?

— Nie wiem.

— "Nie wiem". Ty wszystko: "nie wiem". A Broniusia cacy? he?

Bydlę z niej takie,

jak i z matki, a tamta utopiła się, to może i ta się utopi.

Objął mi ręką szyję.

— Ty wiesz? Ty nic nie wiesz. Ty myślisz: pijak, a ja ci powiadam, ot  
tu, tu

zobacz. Pokazać ci serce?... A wiesz, czemu się tamta utopiła? Bo  
wstyd jej

było, że kochankowe dziecko mężowi porodziła... Cudze... Bronkę...

A ja ją

musiał wychować, jak swoje. Tobie się zdaje, kobieta za dobroć cię  
ukocho? za  
to, że świata za jej plecami nie widzisz? że dusza nią cała przegnije?  
Tak ci  
się zdaje? Nie umiesz wziąć za łeb kobiety i nogą kopnąć, gdy trzeba,  
to ona cię  
kopnie, to ona cię pogryzie. Tak mnie pogryzła... A na pamiątkę —  
bękart...  
Poszła... i sama do wody.  
Oparł się twarzą o moją twarz i szeptał:  
— Widziałeś kiedy topielca? Włosy się tak splączą

na głowie, oczy na wierzch wyskoczą... Co ładnie? prawda ?  
Zaczął się śmiać...  
— Leży sobie taki spuchnięty umarlak, a wiatr mu po głowie skacze.  
Skakał ci  
kiedy wiatr po głowie?  
Zaśmiał się bolącym chichotem, ale zaraz posmutniał.  
— Ej, człowieku! jak ty jeszcze wierzchem oczów w bliźniego  
patrzysz. Ty  
myślisz: źli i dobrzy, podli i szlachetni. A oni tylko tadrachy zamiast  
serc  
noszą... A wsadź mu rękę w ten tadrach, to całe życie palców z krwi  
nie  
odmyjesz... Tak bratku, tak... Pokąsała mnie, pogryzła do śmierci, ale  
i ją  
pogryzli... A później chlup do Wisłki...  
Głowę na rękach oparł i zaczął szlochać.  
— Et! — machnął ręką. — Było i niema. Napiłbyś się za zdrowie  
nieboszczyków?  
— Co? zgoda? — powtarzał z naciskiem. —  
— Stypę ci wyprawię... Bo dziś rocznica śmierci tamtej. Dwadzieścia  
takich  
rocznic już przeżyłem.  
— Chodź! — szeptał — zaprowadzę cię nad Wisłę. W to miejsce,  
gdzie jej trupa

wywlekli. Pójdiesz? nie boisz się? siądziemy na piasku i wypijemy  
za jej  
zdrowie.

Wyciągnął z pod ławy jakąś butelkę i błagał:

— O, widzisz... chodź! Jakaś mi bratem, przyjacielu... Nie bój się...

Nic nie

zobaczysz... Noc, piasek, woda gra, jakby nigdy śmierci na świecie  
nie było...

No co? pójdiesz?

Nachylił się nad moją twarzą i zaczął mnie całować...

— Prawda? Pójdiesz? No, błagam cię... siądziemy

tam nad wodą i wódkę będziemy pili. Tobie nikt się nie utopił nigdy?

Nikt cię

nie zdradził? Nikt ci serca nie wydarł?... Słuchaj ty, ty!...

Ciągnął mnie za rękę i nalegał coraz natrętniej...

— Chodź! błagam cię na wszystkie świętości. Masz co świętego na  
ziemi? Boga,

kochankę, djabła, czy co? Więc chodź! Pójdiesz?

— Dobrze, pójdę — odparłem.

Wzięliśmy się pod rękę i poszliśmy...

Prowadził mnie po jakichś nieznanym mi za miastem samotnych  
ścieżkach, po

jakichś głuchych placach, patrzących groźbą zbrodni; po cichych,  
drzewami

opiętych polankach.

Zapachniała wreszcie i zaszeptala Wisła.

Cisza wielka... Słyszeć było, jak się przesypuje piasek pod nogami...

Tak dni i

wieki w ciszach się przesypują...

Przed sobą, na sobie i za sobą czułem zimne uściski ciemności —  
oplątały świat

cały, usnęły i zastygły.

Tylko smutny księżyc, płynąc powoli przez chmury, wrzucał pobladałą  
twarz w wodę,



ukazywał niejasne kontury drzew, chodził wątlą bladością po nadbrzeżnym piasku.  
Dróżnik pewnymi krokami szedł na przdzie, czasem wrzucał jakieś słowo pijane,  
zapadał znowu w milczenie... i szedł...  
Były to te same brzegi, te same miejsca, na których tyle moich wspomnień było.  
Zdało mi się, że po dawnych umarłych wspomnieniach krocę do jakiejś nieznannej,  
przeklętej przyszłości.

— Już niedaleko — rzucił towarzysz. Wpatrzyłem się w okolicę...  
Wszystkie myśli  
sięwe mnie zachwiały... "wszak tu, tu... niedaleko... leży Bronka"...  
Zatrzymałem się i krzyknąłem:  
— Dokąd my wreszcie idziemy? Zbliżył się ku mnie prędko i wyszeptał:  
— Cicho! nie trzeba krzyczeć na cmentarzach... już niedaleko...  
Rękę mi na ramieniu oparł.  
— Co? boisz się? — pytał. — Wybij sobie strach z głowy... Przecie piasek, jak i  
tu. I tyle już lat temu.  
Pociągnął mnie.  
Czułem, że zbliżamy się do fatalnego miejsca, gdzie leżą dwa trupy.  
Podnosiła  
się we mnie potężna, brzemienna bólem obawa. Zacząłem niejasno pojmować, że stoi  
przede mną jakaś tragiedja o twarzy topielca... Żyła kiedyś przede mną, teraz  
znowu powstała.  
— Już, już zaraz — wyszeptał dróżnik — ja to miejsce tak znam, że bez oczów bym  
trafił.  
Przywołałem na pomoc resztki świadomości, ale myśli rozfrunęły się, jak ptaki  
przed burzą, rozpierchły i ugrzęzły w bólu.

Zdala, zdala... wynurzały się z ciemności bezkształtne zarysy  
topielców.  
Dróżnik drgnął, przystanął.  
Nagle pobiegł jak obłąkany...  
Zasłoniłem oczy...

A szczury przyszły do mnie cichym korowodem, gromada upiorów.  
Zdało mi się, że  
wyskakują z poza drzew czarne — z twarzami ludzi. Suną się z  
nożami zabójców  
przez ciemne ulice; zapełniają suteryny i szynki; prą naprzód, aby  
świat zalać,  
jak powodzią. Zemsty pragną za to, że w jamach i norach żyły; krwi  
łakną...  
Chwila jeszcze, a wedrą się w królewskie komnaty Popiela — zaduszą  
go. Chodźcie  
szczury — królem Popielem jestem.  
Księżyc przez szpary palców w oczy mi zajrzał blady — trwoga mnie  
opasała —  
jęknąłem.  
Dzisiaj tym jękiem wskrzeszam topielców nad Wisłą i marą ich  
spokojnych ludzi  
straszę.

## MAŁY EPILOG.

Chciałbym was uczyć Boga. Ale wyuczcie się pierwszej Człowieka.  
Jednego w drugim  
odnajdziecie.  
O sztuko! ty do nich gadaj! ty — potężna i wszechogarniająca, jak  
Bóg przez

poetów śniony. Bo jeśli Ty im nie rozświecisz mroków, któż je rozświecili?

\* \* \*

Szedłem pod Twoje progi i niosłem wszystkie strzepy łachmanów. A ludzie drwić i uragać będą, że tylko łachmany przyniosłem. Zaprawdę, zaprawdę powiadam Wam, Dusza tam żyje.

Sen o bajce.

Śni mi się mój srebrny sen... Duszy precudna baśń... Utkąłem ją z tęcz i zórz,  
mgłami łąk sennych, jak płaszczem od ludzi ją zasłoniłem i uwierzyłem, że  
spotkam ją taką, jaką wyśniłem sam... I przyszła... Nieprędko przyszła...  
Czarne burze mi nad głową huczały — długo, ludzkie jęki serce mi oplotły, zła  
nienawiść biegła ciągle za mną i kasała...  
Ile kwiatów moich skonało z nienawiści, ile gwiazd mych zagasło nocami, ile  
tęsknot, nieczytanych przez nikogo, umarło — nie przeliczyć. —  
Czarni księża  
ewangeliją mnie bili po głowie, policjanci wiązali mi nogi — wyła głucha  
nienawiść wokoło...  
— Gdzież twój srebrny sen, głupi człowieku? twoja bajka precudna?

— Moja Bajka przed wami już żyła, moja Bajka była ludzkich łez szumem; moja Bajka była harfą rozplakaną; była słońcem samotnych... Znacie morza, ból człowieka płaczące? Na mąk czołach znacie palce siostrzane? Znacie duchów ukorzenia dumnych, co przed niczym nie uklękle na ziemi, pokłon ludziom oddają dostojnym? Wy nie znacie... Żli księża, bankierzy... Wy mej Bajki słyszeć nie możecie. Wy mą

Bajkę okuli w kajdany, zapalili nad nią żółte gromnice, ale ona waszym grobom ucieka, wciąż jaśniej i ciągle ucieka.  
— Żyje w grobach i grobom ucieka? W głowie ci się pomieszało, głupiutki...  
— Milczcie, trupy ! Moja Bajka buduje wam groby, do cegielki cegłę codzien nosi, a wy, głusi, nie słyszycie jej stapań... O źli księża! bankierzy! zwierzęta!  
jakże głusi jesteście wśród grobów... Kto mej Bajki usłyszał już mowę, kto ukochał jej muzyką oddychał, kto ją widział w jej gwiazdach płaczącą, — ten wam tylko może być wrogiem.  
— Hihih... hihih...

\* \* \*

Biała moja, przejasna. Kto mi opowiedział, że jesteś sen srebrny... Chodził do mnie co noc i kiedy płacz duszy mej usłyszał, o Tobie jej mówił. Śliczne, przedziwne były to powieści... Żyliśmy tak długo obaj: ja i mój sen o Tobie.

Sen szeptał...

— Rozrzucić myśli, jak wichry stepowe i ogniami po sercach uderzaj;  
pal, podpalaj,  
rozpalaj pożogę... Aby zwierząt wesołych nie było, co się cieszą  
okradaniem  
kradzionych. By taneczne umarły podskoki, tam gdzie z bólu dusza  
umiera. Aby  
piekło i niebo rozwalić, jeśli piekło ludzkie niebem, niebo piekłem,  
jeszcze nie  
szaleje... Przyjdą czasy: świt będzie nad ziemią. Wtedy Bajki  
promienne po  
łąkach chodzić będą, jak ciche marzenia... Wtedy będziesz śnił tylko  
Baj-

karni... Pal, podpalaj, rozpalaj pożogę... Zanim jeszcze świt wstanie  
nad  
ziemią, — długo czekać, łez dużo i jęku... długo czekać... Patrz! to  
moja matula  
kochana, ta dziewczeczka złocista, co idzie. Patrz! to moja matula  
przecudna, — ja  
sen o Niej, jej dziecię... Patrz, to moja matula dziewicza, Twoja Bajka  
przecudna... Idzie, idzie gwiazdami i morzem... Idzie, idzie szeptami i  
łkaniem... Idzie, idzie miłością...

.....

— Siostrze moja najlepsza, nie odchodź jeszcze...

— Idźmy, idźmy... Ty chsamych świątyn byłś burzycielem, co i ja...  
Ciasno mi...

gniotą mnie niewoli klamry... Póki mam siły — idźmy...

— Czemuż się żegnasz?

— Bo mi pilno w słońca... Kto drogi nie ma własnej, ten słońca nie  
znajdzie.

— Czekaj! odpocznij... podarta twoja suknia biała i stopy w ranach. A  
serce

krzyczy jak ptak obłąkany. Kto ci je obłąkał?

— Ślepcy, szatany głuchej nienawiści. Wyszłam w człowieku mego  
Boga głosić, a

oni na mnie moją suknię darli i rwali w strzępy. Mój ukochany zabił miłość moją i precz ją rzucił, aż jęknęła z żalu. Jakiś bankier tłusty, co raz podsłuchał sen mój o kochaniu, przyszedł i mówi: "złota mam skarbnice, za miłość hojnie płacę... Kocham panią". Chciałam mu w oczy plunąć — ach ja biedna! — i czułam, jak się dusza płoni ze wstydu... Zbladły mi oczy... Cicho, cicho, bracie! Ty mnie nie pytaj, kto obłąkał serce. Pójdę tak teraz przez świat w moje słońce, jak rozpalona za-

giew... Nośmy pożogi... Podaj mi rękę bracie... Jeśli Ci kiedy smutno będzie w życiu, przyjdź w moje słońce... Znasz moje gwiazdy? — dam ci gwiazdy moje... Znasz moje tęcze? — zabierz moje tęcze... Tylko znacz kroki twoje pożogami, bo ciągle, ciągle iść nam trzeba w słońce... — O błękitna moja!...

.....  
Byłem samotny, smutny, pełen żalu, i każdy żywy człowiek mnie przeklinał, tylko sen srebrny żył o mojej Bajce, tylko precudna Bajka była przy mnie. — Nie trzeba, nie trzeba łez, matko, nie lituj się nade mną... Chory jestem, odejdźcie odemnie... — Któż ci zawinił? Nigdyś głosu rozsądku nie słuchał... Na marne siły roztrwonileś... — Lepiej być chorym aniołem, matko, niż policjantem zdrowym. — Tak siostry od siebie odpędziłeś, teraz mnie pozbyć się pragniesz. — Siostry? nie wiem nic, matko... Nie miałem... Była... jest... ale ty nie

wiesz... O moja Bajko cudna, przedziwna Bajko!...

— Cóż to za imię?'

— Imię mej siostry jedynej.

— Któż to jest?

— Sen srebrny, matko... Marzenie, Człowiek...

— Więc sen, czy człowiek?

— Sen o człowieku, człowiek słońc wstających... Wolny jak wicher...  
jak ptak...

jak wicher... Bogiem — sny własne... Snem — ukochania... Sen  
srebrny,

człowiek, Bajka przecudna... Gdybyś Ty, matko, mogła zobaczyć  
morza jej oczów,

wschody jej zórz... Tyś nie widziała nigdy jej czoła? Tyś nie widziała,  
tyś nie

widziała — matko, bądź zdrowa, idę w mój sen... I czemu płaczesz?

Jam nie

zawinił, że idąc w świt, promienną Bajkę w tęczach spotkałem; jam  
nie zawinił, o

moja matko; jam nie zawinił, że ją tak kocham; jam nie zawinił — daj  
mi iść w

świt... — Przebacz mi, matko moja, że Bóg Twój się zestarzał dla  
mnie, Tyś mnie

kochała według Twego Boga, a on mi Bajki zazdrościł... Zły był i  
nienawistny dla

mnie i ciągle mi Ją zabijał we mnie, i dziś, gdyby mi Ją ukraść  
potrafił, onby

mi wszystko najlepsze i najśłodsze z Nią wykradł, onby mi Ją zabrał  
na zawsze,

pomyśl, Matko; na zawsze — Ją, Bajkę moją jedyką — i śmiały się,  
jak głupi

prałat, że duszę piekła namówił... Bądź zdrowa — idę — zawszem  
bez pożegnania

odchodził — taki los dziwny — po raz ostatni może się żegnamy, czy  
po raz

pierwszy — ostatni, pierwszy: wszystko jedno — tak się żegnają,  
matko, białe  
kwiaty, gdy umrzeć mają — błogosław Bajce — klątwa rzucona na  
Jej czoło blade  
mnieby wykleła... Bądź zdrowa... Cisza... Bajka ciszą gada... Cisza i  
smutek są  
naszym wołaniem..

\* \* \*

— Ciszej, ciszej siostro! Mów tak, by księżyc myśli Twych nie  
widział, bo je  
pokaże wszystkim nietoperzom... Cicho!... im ciszej mówić będziesz  
do mnie, tym  
głośniejsze zbudzisz moje błyskawice...

Jest melodia świetlna, która kwiatowi gra, gdy Ty jej każesz — mów  
kwiatami do  
mnie... Chcę ludziom rzucić Boga przeciw bogom — mów kwiatami  
do mnie... Chcę na  
błękity rzucić tyle słońca, by noc zgasiły czarną nienawiścią — mów  
kwiatami do  
mnie...  
Czy już się światy nienawiści gryzą, że tak promiennie? O naucz Ty  
mnie, Bajko,  
Twojej mocy, bo ja mam tylko rozpacz obłąkania...  
Przecież teraz burze chodzą takie ciche, jakby straciły cały wstyd? Śpią  
pioruny  
dumne... Połóż mi, Złota, ręce Twe na czole, bo mnie zabija ta cisza  
konania.  
Patrzę — nie słyszę, słucham — myśl się płacze, i nie wiem: w boje  
idę, czyli w  
trumnę...  
O podaj Ty mi ręce Twoje białe, bo ja iść pragnę jeszcze w krwawe  
boje. Słuchaj



mnie, słuchaj, moja siostró biedna, mnie ciągle w uszach gra ten  
skrzyp  
szubienic.

Pamiętasz? błady był poranek wtedy, kiedy wieszali Twojego  
kochanka. I tylko  
później duże, duże drzewa nad Twoją głową grały marsz żałobny...  
Szeptaly  
liście, chwiały się nad głową, same jak obce, jakieś obce głowy.  
Pamiętasz? — daj mi spokój Twojej mocy, bo mnie zabija ta cisza  
konania...

.....  
O bądź tak zawsze przy mnie blisko i mów... O tym, jak przed  
miljonem wieków  
było, i co jutro będzie... Wszystkie cierpienia w Twoich oczach grają,  
przeszłe  
i przyszłe...

Człowieku dumny, który jak dziecko jesteś niewinny, Bajko moja,  
przypomnij  
sobie...  
Czy to Ty byłaś tą dziewicą bladą, co o miłości wysnuła wolny sen?...  
Ty  
byłaś... widzę... poznaję po Twych oczach... A księża Cię na tortury  
wzięli...  
O nie mów, nie mów już o tym, bo mi pęknie dusza. Widzę, jak  
Twego ciała  
jedwabiami sycą się ślepią świętych lubieżników — uciekaj od nich...  
Nie, nie... ach cicho! niech Ci tak głośno serce nie szeleści, jak mrące  
drzewa... Inkwizytor słyszy... Czekał do wieczora — ja przyjdę nocy  
otoczony  
chmurą i do aniołów Twoich Cię zaniosę.  
— Nie! nie! nie wierz mi, siostró moja, nic nie wierz — skłamałem  
wszystko...  
Jestem niemocem porwać Cię z tych murów, bo tu pilnują wszędzie  
księża strażę...

Chciałem nadzieją Cię krzepić... Ale ukochanym nie wolno kłamać  
nawet i  
nadziei... Stosy rozpalają w mieście... Kat zaraz przyjdzie... Czemu Ty  
nie  
płaczesz? Pozwól mi umrzeć blisko Twojej kaźni...  
Siostró! o siostró! czy już skwierczą stosy? Daj mi Tve nogi  
ucałować białe —  
gdzie jest Twój sen? — Patrz, patrz ciągle, Złota, i mów... Mów, jakie  
męki w  
Tobie żyły, jakie Ci gwiazdy wstawały do życia...  
Widzisz? podcięty w krąg łeb dominikanina... Zębami ze starości  
szczęka...  
Bajko! nie patrz na niego... to nie dominikanin... to jasnowłosy książe  
— władny  
Twój pan...  
Ach! jakie złudzenie silne było... Oczy miał zimne, jak ołów... I cały  
wpijał  
się w krew i pił... Ach jakie złudzenie silne było...

Nie grozi Ci śmierć...  
Dług tylko oddasz Panu...  
Dziewiczy wianuszek...  
Bóg Cię za to pochwali...  
I możesz już kochać wybrańca, jeśli Ci siebie nie każe kochać  
ksiądz...  
Widzisz: nie grozi Ci nic... Powłoką cię jak psa... Hop — hop!...  
spójrz —  
trąbki grają... Pan wraca z łowów...  
Obok konia jego gibkie, zgrabne charcice, pieszczoną ręką głaskane...  
Będiesz  
taką charcicą na jedną noc...  
Czemu Ci krew z twarzy uciekła? — Siostró! Ty cała drżysz... Oczy  
Twoje, jak  
ptaki postrzelone, wyfruną i zaraz padają...  
O Siostró, Siostró kochana, daj! pałką łeb Ci roztrzaskam i umrę u  
Twoich

stóp...

Nie, nie! nie drzyj... Ach jakie my dziwne sny roimy. Złota — to nie księżę

jasnowłoso...

Patrz, wkoło rozkwita maj... Za mną zostały stepy — przede mną zielona dal. — Ty

chodzisz po innym cmentarzu — ja zmierzam na inny cmentarz...

... Musimy umierać oboje i do nowego życia wstawiać ciągle i musimy umierać i

wstawiać, do nowych walk się sposobić... My twórcy życia jesteśmy...

Bajko! my

nasze błękity możemy rzucać, jak bomby na czoła... Chmurami możemy gadać...

— Pójdź! Złota, na step Cię poniosę.

.....

Tam, na mych stepach niezmiernych, pustych, są takie myśli otchłanie, jak w

Twoich oczach, kochana...

Tam, za nocami płyną białe noce, jak srebrne łodzie... Tam złoty księżyc nad

górami siada i cicho patrzy...

Tam, na mych stepach byłeś już kochana, kiedym uciekał z rozpacz...

O moje

stepy niezmiernone, puste!...

O moja Bajko liljowa...

Lubisz iść w stepy? lubisz mą ojczyznę — stepami odetchnij, Złota,..

Do walki

mocy więcej będziesz miała, a walka ciężka i długa...

Patrz! jak baszkirską księżną Cię ubrałem w jedwabie, w czerwone korale... Pędzą

ogiery nasze rozhukane... "Małój, małajka! pędź, szalej"...

Czy Ty nie słyszysz, Złota, że jak duchy pędzimy po tych krawędziach, gdzie

nasze konie mogą się rozbrykać i zlecieć w przepaść i zginąć!...

Nie bój się, Jasna; księżycowych koni szatan nie strąca w otchłanie,  
— nie bój  
się, nie bój: księżycowe konie świat jeszcze dzisiaj obiegają...  
Ach, jak Ty patrzysz teraz, — w Nieskończoność takie patrzeć idzie  
— ach, jak  
Ty patrzysz...  
Słuchaj, gdy będę umierał, Ty mi patrzeć takie złóż na oczach, do  
grobu wrzucić  
trochę stepu.

.....  
Pamiętasz, Biała, kiedyś dzień jeden zgubił w życiu i próżno go  
odszukać  
chciałem i poskarżyłem się Tobie...  
A Ty dobra zawsze i czuła dla mnie łzę mi dałaśi rzekłaś: "nie trzeba  
żałować,  
co przeszło... Przyjdź nad morze moje... Tam usiądziemy razem na  
tarasie i  
odnajdziemy dzień w stepach zgubiony"...

I odtąd lubię być nad Twoim morzem... Śnię mewy białe, takie  
przejazne, jak Twoje  
myśli, śnię Twoje łodzie z kryształu... Czasem gołębie jakieś dziwne,  
złote, o  
łódź uderzają... To pewnie anioły Twoje, dobra; to myśli, które są  
Twoim  
całowaniem...  
Nad Twoim morzem cisza jest niezmierna... Okręty z kwiatów twarzą  
w słońce  
biją... Czarne łabędzie płyną, jak marzenia... Złote marzenia płyną, jak  
łabędzie...  
Czekaj, droga! ja mowy łabędzi Twoich się nauczę i pieśń o śmierci  
zaśpiewam...  
... Wszystkim szatanom powykrzywiam usta, czarnym jędzom płakać  
nakażę i dotąd o  
morzu Twoim będę śpiewał, aż się w Twojej łodzi z kryształu zapatrzą i  
zmieniają się

w błękit...

Bom tyle kwiatów uzbierał nad Twym morzem i tyle tęsknot i myśli,  
że mogę niemi

łudzi obdarzać, jak król...

Wszystkim szatanom usta powykrzywiam, wiedźmom powykręcę  
oczy, wichurą

błyskawic włosy im podpalę i rzucę śpiew Twoich łabędzi...

Wiesz? ja dzieckiem jeszcze marzyłem Twoje morze ciche, jak Ty...

Ach, ja oczy

Twoje marzyłem głębokie, kiedyś była jeszcze dziecinką maleńką,  
kiedym jeszcze

nie wiedział, że żyjesz...

Złota moja, najlepsza! daj mi jeszcze morzem Twim odetchnąć, daj  
pożegnać

słoneczne okręty...

Bądźcie zdrowe, łabędzie i lilje, białe mewy, Ty, Bajko i morze...

Znowu

przyjdę... Nie dzisiaj... Bądźcie zdrowe.

Powracam na stepy z mową mrących łabędzi... Muszę jeszcze pieśń  
stworzyć...

Muszę nowy świat zrodzić... Muszę zagrać szatanom... Powykrzywiać  
im usta...

Bądźcie zdrowe.. O Bajko! czemu patrzysz milcząca?... Ach, Ty ze  
mną iść

pragniesz...

.....

Pójdź moja Złota!...

Na Twoim niebie drżące zapal gwiazdy...

Niech wszyscy widzą.

Gwiazdy się rozpalą, to taka cisza na ziemi zagości, to taki spokój  
świat cały

ogarnie, że głos nasz dojdzie nawet w takie strony, gdzie nigdy nie  
chodził głos

pieśni...

Graj — graj, moja Bajko, wszystkie cierpienia, co nad światem biegly,  
co darły

Twe serce na kawałki...

A później gwiazdy ludziom, gwiazdy rzuć na czoła, jak mnie je  
rzuciłaś, by

umierali, jak ja, szczęśliwi, w tęczową Baśń zapatrzeni.

Zaspiewaj im Człowieka, co się z pęt życia wyzwoli, i będzie sam  
tworzył życie,

jak przepotężny Bóg, którego sam nędzarz ducha stworzył, jak psa,  
żeby mu

łańcuchami wydzwaniał i szczekał swoją moc...

I niechaj każdy światem swoim włada, bez niczyjego rozkazu i  
narzuconych mu pęt

i niech Bajkę ma swoją białą, tak ukochaną, jak Ty, jak Ty, moja  
Złota...

.....

Ponad przepaścią, ze szczytu na szczyt! — wyżej, ach wyżej!...

Mówią, że były jakieś prawa, którym człowiek iść musiał w  
poddaństwo...

A miłość była jak ptak, co przefruwa z chałupy na chałupę, aby wic  
gniazdko i

spłodzić pisklęta...

My nie znamy praw.. My sami w nasz świat idziemy, w nasz jasny,  
piękny, pełen

cudów sen...

Wyżej, o wyżej! — A co my stworzymy, musi po wieki wieków  
trwać...

.....

— Hej, hej! parszywy jestem ksiądz i na łańcuchu parchy po ludziach  
roznoszę...

Jeno kieską podzwaniam — hej!... Co to za motylki barwne?

Tyle szumu i hałasu... Gwiazdy, turnie... Tego ewangelija nie  
pochwała — to

można tam — u Jana Bożego — w oddzielnej klatce Świat, już  
uchrystuszony według

Śp. Grzegorzów i Piusów... A na motyle — szpilki, chloroformu  
odrobina... jako  
okazy zoologiczne.  
— A dajta no mi ta kose. Bede kosiła psie krwie — plemie ludzkie.  
Żeby se  
ciągiem pamiętało, że mnie stworzył sam Bóg... "Ha — ha... Kostucha  
stara" ...  
Śmieją się ze mnie, póki im w gnaty nie wleze... A ja... umiem, oj  
umiem  
robaczków brać... Jak krzyne szczęścia zobacze, abo siły, co to  
Chrystusowi  
przeciwna Warszawskiemu — potrafię, potrafię je potarmosić...  
.....  
Dziecinko Ty moja maleńka, Bajko ukochana!  
Prowadź mię w tę noc jesienną, pełną czarnych szumów — wiatr  
liśćmi po oknach  
uderza — tak daleko, tak daleko jesteście od siebie...  
Widzisz? Śmierć mi oczy przesłania — po dużym

pokoju szpitalnym mary się uwijają ponure i w myśli moje  
cmentarzem dmuchają...  
Tak tam u Ciebie wiatr w szyby dmucha, tak wyje śmierć na  
cmentarzu...  
Ja wiem: za moim oknem jest trupiarenka mała — patrzy w me oczy  
ciągle smutna i  
pełna żalu... Śmierć zbliża się do mnie cichutko, słyszę jej stapania...  
A poprzez długie myśli korytarze, przez ciemnie jęczącej wichury  
Ciebie widzę,  
jedyna... Słyszę twój głos, jak mówi do mnie pełen słońca — ja już  
tak dawno  
słońca nie słyszałem — to noc, to noc, kochana — skąd się słońce  
wzięło pośród  
nocy?  
Słucham Cię — patrzę — coś Ty mówiła teraz? coś mi mówiła,  
Jasna?

Ciszej mów — ja nie słyszę głośno — ciszej! ach ciszej! — mów  
cicho, jak  
śmierć... Jam już tak nawykł do niej.  
Mówisz, że róże kwitną dla mnie białe i chryzantemy; że jest Twe  
morze ciche i  
dalekie. — Och, Bajko moja! — tu ciało moje leży ciężkie, jak  
kajdany — wstać  
już nie mogę — prowadź mnie za rękę, jak małe dziecko...  
... Na Twych ramionach gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy — co to się  
dzieje ze mną? — w  
gwiazdach zawisłem cały... Śmierć cicho od mego łóża odchodzi i  
idzie przez pola  
czarne zgarbiona, z wykrzywioną twarzą...  
W uchu szept róż Twoich płacze, słońce gra mi nadziei melodje...

Ach droga! Tyś śmierć nawet dla mnie odpędzała, daj mi żyć teraz dla  
siebie...

.....  
Tyś zawsze taka dobra była dla mnie. Jedyłą siostrą, najdroższym  
człowiekiem,  
kochanką duszy jakąś jasną, świętą...  
Jeśli krzyczało z bólu moje serce, toś Ty je słowem jednym uciszała;  
jeśli  
płakałem — Tyś ze mną płakała; jeśli sen śniłem — Tyś sen śniła ze  
mną.  
Czasem mnie jakieś trwogi opadały, jakieś przekleństwa ponurej  
przeszłości, bo  
już się prawie w sercu nie mieściło, byś nosić mogła w sobie tyle  
słońca...  
Ach jakim płaczem wybuchalem wtedy — Ty nie wiesz, co to stracić  
ukochaną. —  
Drzałem, że przyjdzie jakieś słońce duże, co mi zagasi wszystkie  
gwiazdy moje, i  
że anioły w słońce Cię zabiorą i już Cię nigdy, nigdy nie oddadzą.  
Aleś Ty z ciszą dziecka powracała i rozpraszałaś wszystkie niepokoje,  
i póty w



oczy me patrzyłaś blade, aż uśmiechnąłem się szczęściem zachwytu, i  
śmieliśmy

się znów, jak dwoje dzieci...

Bądź pozdrowiona Siostró ukochana, bądź pozdrowiona przejasna  
kochanko, ciągle

mi kwiaty myśli Twoich płoną, ciągle mi oczy Twoich tęsknot  
pachną.

Przez wielki smutek i przez łzy ogromne i przez ukochań wielkich  
ukochanie myśmy

tu doszli w te krainy cudne i tu będziemy śnili nasze światy...

.....

Wy, którzyście nigdy za siebie i innych nie umierali, nie słuchajcie...

Bajka

bez was żyła... Kto jej w sobie

nie miał — nie zobaczy jej w nikim... Kto nie szukał jej w nikim, nie  
odnajdzie

jej w sobie... Kto człowieka hełm tylko nosi na głowie — nie zobaczy  
jej

głową... Bajka jest Życiem. — Ale sen o Bajce jest najpiękniejszym  
snem życia...

Bajkę trzeba kochać ponad Życie... Bajko! snem o Tobie resztki życia  
dziś

oddaję...